

ISSN 1507- 4781 \* ROK XXI \* JESIEŃ (X, XI, XII) 2018 \* nr 78

# FORUM 78

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



STEFAN BERDAK „Rozrabiacze”, akryl, płyta

## W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *O wyzyskaniu dóbr naturalnych*
- Kazimierz Pasenkiewicz, *Polska Organizacja Wojskowa*
- Jan Czajkowski, *Buddyzm*
- Piotr Szydłowski, *Artura Schopenhauera (1788–1860) etyka współczucia*
- Andrzej Pierzchała, *Duch dobry, duch zły*
- Danuta Stolarek, *Furcewa Jekatierina – cz. I*

STULECIE ODZYSKANIA  
NIEPODLEGŁOŚCI  
POLSKI



**SŁOWO OD REDAKTORA**

1 Stanisław Franczak

**TEMATY SPRZED LAT**

3 Tadeusz Żeleński-Boy, *O wyzyskaniu dóbr naturalnych*,  
prowadzenie i opracowanie: Alicja Górowska

**ETYKA DLA MŁODZIEŻY**

6 Piotr Szydłowski, *Artura Schopenhauera (1788-1860) etyka  
współczucia*

**RELIGIOZNAWSTWO**

14 Jan Czajkowski, *Buddyzm*

**W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI**

23 Kazimierz Pasenkiewicz, *Polska Organizacja Wojskowa,  
Komenda Naczelna nr 3 na Ukrainie*

**ARTYKUŁ POLEMICZNY**

28 Andrzej Pierzchała, *Duch dobry, duch zły*

**FELIETONY**

34 PIOTR AUGUSTYNEK, *Dana moja, dana – szkoła ukochana!*

35 Henryk Szydłowski, *Patent na zabijanie*

39 Mieczysław Jakubiec, *O starym tygodniku – z sentymentem,  
o nowym kwartalniku, z nadzieją*

**HISTORIA I POLITYKA**

42 Danuta Stolarek, *Furcewa Jekatierina Aleksiejewna – bogini  
czy megiera? (cz. I)*

**RECENZJE**

49 Marcin Kabaj, *Rzeczywistość w ujęciu współczesnej fizyki:  
Carlo Rovelli*

51 Stanisław Franczak, *Bezdroża piekła i nieba*

**53 Z PORTALI INTERNETOWYCH**

**58 Z PRASY**

**59 KOMENTARZE**

61 Andrzej Kurz, *O naszym przyjacielu Janie Nowaku  
(1928-2018)*

62 POŻEGNANIE JANA NOWAKA

**KRONIKA**

63 *W hołdzie Boy'owi*

64 UCHWAŁA XIII Zjazdu Krajowego Towarzystwa Kultury  
Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego

doc. dr Andrzej Kurz

– przewodniczący,

prof. dr hab. Czesław Banach

– wiceprzewodniczący,

dr Józef Kabaj

– wiceprzewodniczący,

mgr Stanisław Franczak

– sekretarz.

**Członkowie:**

prof. dr hab. Adam Chmielewski,

prof. dr hab. Michał Chorośnicki,

prof. dr hab. Ignacy S. Fiut,

prof. dr hab. Marian Grzybowski,

prof. dr hab. Jerzy Kochan,

prof. dr hab. Jerzy Kolarzowski,

dr hab. Zbigniew Krawczyk,

prof. dr hab. Józef Lipiec,

mgr Mieczysław Noworyta,

prof. dr hab. Jerzy Ochman,

prof. dr hab. Jan Szmyd,

prof. dr hab. Piotr Szydłowski,

prof. dr hab. Jan Woleński,

prof. dr hab. Krzysztof Woźniakowski.

**ADRES REDAKCJI:**

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5

tel. 12 423-50-16; 501 456 547

e-mail: j.kabaj@wp.pl

sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

**Wydawca:**

Rada Wojewódzka

Towarzystwa Kultury Świeckiej,

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5

**www.forummysliwolnej.pl**

Dom Fundacyjny im. Lidii i Leona

Świeżawskich

**Skład, łamanie i druk:**

Agencja Reklamowa Novum

31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8

tel.: 12 633 35 53

www.novum.krakow.pl

**Redaktor naczelny:** Stanisław Franczak.

**Zespół redakcyjny:** Ignacy S. Fiut, Antoni Pietryka (zastępcy red. nacz.), Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Henryk Szydłowski, Artur Koziół (red. techniczny).

**Opracowanie graficzne:** Stefan Berdak, Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych.

Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.



---

## SŁOWO OD REDAKTORA

Jesień za pasem, bo „poruszenie wśród Polaków rośnie” i o tej porze zwykle rodacy stają się gniewni, a nawet rewolucyjni. Wszystkie niemal narodowe zrywy rodziły się właśnie jesienią. Wszystko zależy od tego, czy przeleje się czara goryczy i czy w piersiach zabrzmi nuta wolności. Szkoda, że nie potrafimy jej inaczej wydobyć z piersi jak poprzez bunt. Tacy już jesteśmy i nic nie poradzisz, że oto nadchodzi jesień polityczna!

Jesteśmy świadkami wielkich historycznych spotkań na szczycie, których znaczenia nie można przeceniać. Oto Tramp i Putin porozmawiali o wszystkim i o niczym, a przywódca Korei Północnej z prezydentem USA bez większych skutków. Może jedynie zostały przełamane pierwsze lody, choć to nie ma wpływu na wojnę syryjską, czy irańskie zbrojenia atomowe.

A tu przyroda się burzy i temperatura przekroczyła już 40 stopni Celsjusza w takiej oazie zimna jak Skandynawia, a powodzie zbierają żniwo w Japonii i innych zakątkach świata. Co jeszcze nas czeka?

Na pewno ciekawy numer naszego pisma, w którym jak zwykle udowadniamy aktualność myśli Boy'a oraz potrzebę etycznego oglądu świata, do czego przyczynia się prof. Piotr Szydłowski przedstawiający A. Schopenhauera, a prof. Jan Czajkowski pisze o historycznym Budzie. Andrzej Pierzchała formułuje rozważania „o duchu dobrym i złym”. Wreszcie dr Danuta Stolarek podejmuje temat „kobięcy” przybliżając historię Jekatieriny Furcewej. Wspomnienia w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości Polski snuje na tych łamach z kolei prof. Kazimierz Pasenkiewicz. Ponadto znajdziecie Państwo bogatą felietonistykę, kronikę, komentarze i tematy, którymi wciąż żyją media.

Życzymy wiele satysfakcji z lektury.



3/50

PORTRAIT

Aug 2017

Kiedy we wrześniu rozpoczyna się nauka w szkołach, dyrektorzy zaczynają przeglądać akta nauczycieli i sprawdzają, czy posiadają oni ważne badania lekarskie by mogli przystąpić do pracy. To znaczy, by mogli mieć kontakt z uczniami. Oczywiście są to badania dotyczące li tylko zdrowia somatycznego. A gdzie zdrowie psychiczne?

Gruźlicę, pasożyty, seplenienie (co ostatnio u nauczycieli zdarza się nader często) w dzisiejszej dobie można dość szybko wyleczyć. Natomiast defektu w sferze psychologicznej i psychicznej nauczyciela, który ma kontakt z młodym człowiekiem, nie jest w stanie wykryć podczas kilku minut wizyty nawet najlepszy lekarz pierwszego, drugiego i trzeciego kontaktu.

Tak naprawdę, każdy potencjalny nauczyciel jeszcze podczas studiów powinien być poddany serii badań psychologicznych dotyczących tzw. „przydatność do zawodu”. A na pewno co kilka lat, gdy już jest czynnym nauczycielem. Czego się oczywiście nie robi.

Dużą rolę i odpowiedzialnością winien wykazać się dyrektor szkoły, który ocenia nie tylko umiejętności dydaktyczne nauczyciela, ale jego stosunek do ucznia i pozostałych osób (z rodzicami włącznie). Dyrektor winien obserwować swoich pracowników nie tylko podczas hospitowanych lekcjach, ale na przerwach, wycieczkach, imprezach szkolnych, itp.

Ktoś powie, że taka inwigilacja jest naruszeniem dóbr osobistych. Nie sądzę. Zawód nauczyciela, pedagoga jest zawodem szczególnym. Mówią o nim: ZAWÓD ZAUFANIA PUBLICZNEGO. To ci ludzie mają ogromny (mam taką nadzieję) wpływ na kształtowanie postaw i charakterów młodzieży. Mogą być one w przyszłości piękne, albo nie daj boże zwichnięte, zniszczone przez nieodpowiednich nauczycieli.

Tadeusz Boy – Żeleński też uprawiał zawód zaufania publicznego. Jak się przekonamy potrafił „zdiagnozować” wśród pocziwych belfrów jednostki co najmniej kontrowersyjne.

Cóż, dotknęliśmy tutaj (wspólnie z Boyem) tematu drażliwego. Sami z własnej szkolnej przeszłości najmocniej zapamiętaliśmy właśnie belfrów – dziwaków, którzy niejednokrotnie tworzyli koloryt szkoły.

Czy jednak każdy z nich był dewiantem?

*wprowadzenie i opracowanie: Alicja Górowska*

## TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

### O wyszkaniu dóbr naturalnych

Miło jest, patrzeć na świat, stwierdzać niewątpliwy postęp na wszystkich polach. W każdej dziedzinie dzieją się rzeczy, o których nam się nie śniło. Tak na przykład ja, wychowanek dawnej barbarzyńskiej szkoły, podziwiam instytucje

lekarzy szkolnych, którzy badają periodycznie uczniów. Ale skoro się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”. Pragnąłbym rozszerzyć tę instytucję. Zdaliby się mianowicie lekarze szkolni dla badania periodycznego

profesorów. Choroba ucznia – pomijając sprawy zakaźne – to bądź co bądź rzecz osobista; stan zdrowia profesora, człowieka, który ma w rękę los kilkuset dzieciaków, to sprawa o wiele donioślejsza. Na przykład paraliż postępowy, cierpienie, które zaczyna się nieznacznie, drażży organizm na kilka lat, nim wybuchnie, i zrazu ujawnia się jedynie nieokreślonymi zmianami charakteru – to rzecz, która może być bardzo poważna w skutkach.

Nie mówię tego na wiatr. Będąc w gimnazjum miałem profesora niemieckiego – a niemieczka była jednym z najgroźniejszych przedmiotów – prof. Feuchtingera. Pamięta go z pewnością niejeden z mojej generacji. Otóż profesor ten więcej niż dwa lata chodził swobodnie z objawami paraliżu postępowego i uczył do ostatniej chwili, zanim w trzy dni po klasyfikacji, na której „spalił” przeszło pół naszej klasy, umarł na atak ostrego szału. Wówczas dopiero zmiarkowano, co to było, i dyrektor miał na tyle rozsądku, że nie formalizując zbytnio, zanulował jego klasyfikacje. Ale zważywszy, co to musiała być za kolekcja oryginałów ci ówczeszni profesorowie, skoro ten „paralitik postępowy” mógł chodzić nie poznany, uchodząc po prostu za jednego dziwaka więcej w owym gronie. Mówię „nie poznany” – otóż niezupełnie, bo uczniowie mieli o tym sąd dość jasny, uważali go za wariata, bali się panicznie jego strasznych, błędnych oczu, kiedy zdejmował na chwilę wypukłe czarne okulary, same przez się już dające upiorny wygląd. Widziałem potem wielu wariatów, ale rzadko widziałem tak typowy wzrok obłąkanego. Miał ataki wściekłej srogości, potem znów skarżył się przed nami, płakał, opowiadał wciąż o jakimś parasolu, który mu ukradli etc. Pamiętam, raz za jakieś przekroczenie zostawił mnie w „kozie”; zadał

mi trzydzieści stronic niemieckiej prozy do nauczenia się na pamięć – oczywiście szaleństwo! Było to niewykonalne; nauczysz się pół stronicy, zrezygnowałem, odłożyłem książkę i czekałem mego losu. Kiedy wszedł i popatrzył na mnie swymi strasznymi oczami, rozplakałem się: miałem uczucie, że jestem w klatce dzikiego zwierza. Wariata coś tknęło, obudziło się w nim jakieś ludzkie uczucie, nic nie powiedział i puścił mnie. Na podstawie tego doświadczenia uważam za wskazane badanie przynajmniej co pół roku reakcji żrenicowej ciała nauczycielskiego z dyrektorem na czele. Wszyscy jesteśmy ludźmi!

Nieraz zastanawiała mnie ta olbrzymia ilość oryginałów, jakich pamiętam z moich czasów szkolnych. Czy dziwacy ciągną do tego zawodu, czy też w nim dziwaczej? Może i jedno, i drugie. Obierają ten fach zapewne ludzie, rozmiłowani we własnym autorytecie, a namiętność ta rozwija się z czasem niepomniernie, z groźnymi następstwami. Mieć zawsze rację – tego żaden człowiek nie wytrzyma, zawsze mieć rację może tylko Bóg. Przykłady sadyzmu też – o ile pamiętam – nie były odosobnione. Oczywiście mówię o szkole dawniejszej, z moich czasów, a ta kolekcja dziwaków, jaką ja zastałem, była niczym w porównaniu do tych, o których się słyszało z opowiadań starszych. I w tym zatem postępek jest niewątpliwy.

Mówi się często, że do tego zawodu trzeba zamiłowania, trzeba kochać młodzież. Otóż słowo „kochać młodzież” prowadzi nas dość prostą drogą do kwestii, która musiała mnie interesować zarówno jako lekarza, jak i mędrca, mianowicie do kwestii homoseksualizmu w stosunkach między wychowawcą a uczniem. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chcę insynuować nic

zdrożnego, ale z drugiej strony, niepodobna przez pruderię zamykać oczu na to, co życie przynosi lub może przynieść. Nie zapominajmy, że cała pedagogika grecka w swoich najpiękniejszych przejawach na tym się opierała! Dość czytać Platona, aby wiedzieć, że ten charakter może się „sublimować” w najszczytniejszych wartościach. Pamiętam z moich wspomnień coś podobnego. (...)

(...) wspomnienie z moich niższych klas. Był to katecheta, ksiądz N., człowiek rubaszny, z gruba ciosany, podobno był wprzód wojskowym, niezły człowiek, nie pozbawiony pewnego humoru, zabarwiający swoje lekcje i egzorty jaskrawym kolorytem, coś w rodzaju księdza Robaka, coś z *Proboszcza wśród bogaczy*, ale bez ich cnót. Miał on w klasie swoich ulubieńców, których obdarzał cukierkami i pieszczotami, ale kiedy taki faworyt, zaufany w swój wpływ, przebrał miarę w psotach i zuchwalstwie (można wśród takich dzieciaków obserwować wszystkie typy „kurtyzan”,

z panią du Barry włącznie), wówczas ksiądz puszczał w ruch trzcinkę. „Pani Trzcinkowska potańcuje ci trambulankę po sempiternie” – krzyczał tubalnym głosem swoim obrazowym językiem. Trzcinka była wówczas jeszcze oficjalnym narzędziem kary i spoczywała stale w szufladzie „katedry”. Ale wystarczyło, aby skarcony chłopiec złożył głowę na ławce w rękach, płacząc lub udając, że płacze, a skutek był niezawodny: zrazu ksiądz udawał, że nie widzi, ale w końcu nigdy nie mógł wytrzymać, zbliżał się delikatnie na palcach, siadł obok w ławce, tulił płaczącego draba, obnażał mu rękę do łokcia, okrywał ją pocałunkami, podsuwał cukierki etc. Jednego dnia nie pojawił się w klasie; dowiedziawszy się, że nie żyje, chodziły wieści, że się otrul wskutek jakiegoś doniesienia do władz. Wówczas były to rzeczy bardzo poważne. (...) □

Ze zbioru „Boy o Krakowie”,  
Wydawnictwo Literackie, 1974

## STEFAN BERDAK rysuje:



PIOTR SZYDŁOWSKI

## Artura Schopenhauera (1788-1860) etyka współczucia

### 1. Wprowadzenie

Żył Artur Schopenhauer w okresie działalności trzech największych niemieckich filozofów- idealistów, J.G. Fichtego, F. W. J. Schellinga i G.F. Hegla. Po habilitacji na uniwersytecie w Berlinie otrzymał docenturę i rozpoczął wykłady z filozofii. Miał jednak pecha, do którego częściowo sam się przyczynił. Wykłady swoje bowiem zaplanował i realizował w tym samym czasie, w którym wykładał Hegel. Rywalizacja z Heglem miała swoje jednoznaczne skutki. Przytłoczony autorytetem Hegla nie pozyskał słuchaczy dla swoich wykładów. A gdy w 1831 roku pojawiła się w Berlinie zaraza cholery, zrezygnował z docentury i rozgoryczony niepowodzeniem opuścił miasto, udając się na stałe do Frankfurtu nad Menem. Tam uprawiał prywatnie swoją filozofię niezadowolony ze świata i swoich losów. Tam też przebywając, wziął udział w konkursie ogłoszonym w 1837 roku przez Królewskie Duńskie Towarzystwo Naukowe na temat podstawy moralności. Jego rozprawa jednak „O podstawie moralności” nie znalazła uznania Towarzystwa Naukowego, została odrzucona, co dodatkowo wpłynęło na pesymistyczny charakter jego filozofii.

Stworzył Schopenhauer drugi typ idealizmu niemieckiego, odmienny od Hegłowskiego, liczył się bowiem z empirycznym obrazem świata, co doprowadziło go do irracjonalistycznej metafizyki i do wynikającej z niej również irracjonalnej, zaprawionej pesymizmem etyki. W tłumaczeniu

na język polski posiadamy jego jedenaście dzieł, z których przytoczę jedynie kilka, zawierających istotę jego metafizyki i pesymistycznej etyki. Oto one:

- Świat jako wola i przedstawienie, przeł. Jan Garewicz, T. 1-2, wyd. PWN, Warszawa 1994-95.
- O wolności ludzkiej woli, przeł. Adam Stögbauer, Kraków 2014.
- O podstawie moralności, przeł. Zofia Bassakówna, Warszawa 1994 i Kraków 2014.
- Metafizyka życia i śmierci, tłum. Józef Marzęcki, Warszawa 1995.
- Aforyzmy o mądrości życia, przeł. Jan Garewicz, wyd. 4, Warszawa 1997.
- W poszukiwaniu mądrości życia: Parerga i Paralipomena: drobne pisma filozoficzne, T. 2, przeł. Jan Garewicz, wstęp Hanna Buczyńska-Garewicz, Kęty 2004.

Teksty Schopenhauera nie są łatwe w czytaniu. Zniechęcają nawet czytelnika nieco obytego z filozofią. Są zagniatwane, robią wrażenie, że nie wiadomo, o co ich autorowi chodzi. Badacze jego filozofii, tacy np. jak Jan Garewicz, utrzymują jednak, że „mimo dostrzeganej w tekstach Schopenhauera niekonsekwencji, mamy do czynienia z systemem filozoficznym, a nie z eklektycznym zlepkiem stanowisk” (J. Garewicz, Schopenhauer, WP, 2000, s. 12). Chcąc uprzystępnąć młodemu Czytelnikowi poglądy Schopenhauera, musimy je mocno ograniczyć do najistotniejszych problemów. A problemy te są dwa: metafizyka i wynikająca z niej etyka.

## 2. Wola centralną kategorią metafizyki Schopenhauera

Metafizyka to inaczej mówiąc ontologia, czyli filozoficzna teoria bytu, filozoficzna interpretacja całej rzeczywistości, a etyka to filozofia moralna, czyli refleksja o godziwości bądź niegodziwości czynów ludzkich. Tak już bowiem jest i tak zawsze było, że – jak głosiła filozofia scholastyczna – *operari sequitur esse*, tzn. jaki kto jest, tak postępuje (działa). Inaczej mówiąc, każdy byt działa zgodnie ze swoją naturą. Dlatego właśnie pytamy o naturę rzeczywistości w filozofii Schopenhauera. Jak zatem Schopenhauer widzi i interpretuje naturę świata?

Swoją ontologię Schopenhauer wypracowuje w długiej polemice z poglądami Immanuela Kanta. Pomijamy, rzecz jasna, szczegółową prezentację owej polemiki, jest bowiem skomplikowana i w kontekście naszego tematu, niepotrzebna. Żeby jednak zrozumieć woltarystyczną metafizykę Schopenhauera, musimy jej poświęcić nieco uwagi, żeby uświadomić sobie przesłanki teoriopoznawcze, jakimi Schopenhauer się posługiwał.

Otóż obserwując istnienie wielu różnych obiektów uważał, podobnie jak Kant, że nigdy nie wnिकniemy do ich wnętrza (w ich istotę), lecz poznamy tylko ich stronę zewnętrzną, zwaną zjawiskami. Ponadto zauważył, że przedmiotem poznania jest również sam poznający człowiek. Tak jak wszystkie inne rzeczy, tak samo i człowiek jest „rzeczą w sobie” i można go poznać tylko od wewnątrz, czyli *m o ż n a o s o b i e s a m y m u z y s k a c s a m o w i e d z ę*. Przyjmując, że jedynym źródłem wiedzy jest doświadczenie, tworzył Schopenhauer metafizykę uzasadnianą empirycznie. Własna samowiedza natomiast pouczała człowieka, że *j e s t o n w o l ą*.

Istotę człowieka stanowi wola, a zrozumienie tego jest kluczem do znalezienia i zrozumienia istoty wszystkich innych rzeczy poznawanych, w tym do zrozumienia istoty świata. Są to jedyne wrota do prawdy. Poznając rzeczywistość w ten sposób rozumiemy, że osnową przyrody jest również wola. Owszem, przyrodnicy nie zajmują się wolą lecz zjawiskami, ale i oni dostrzegają w tych zjawiskach określone siły, a czymże są siły, jeśli nie objawami woli. Należy je pojmować przez analogię z wolą. Schopenhauer zjawiska przyrodnicze, zachodzące w przyrodzie zmiany, określa terminem nie przyrodniczym, lecz filozoficznym – terminem „wola”. Dostrzega mianowicie w przyrodzie powszechną celowość zjawisk i tę celowość nazywa „chcieniem”: kamień „chce” zachować swą masę i położenie w miejscu, roślina „chce” zaspokoić swoje potrzeby żywotne, zwierzę „chce” kierować się swoim instynktem. Wszystkie owe przyrodnicze „chcenia”, to przejawy woli wcielonej w dany przedmiot. Inaczej mówiąc, jaśniej: wola świata jest tym, co przyrodnicy nazywają „siłami natury”. W ten sposób Schopenhauer przeszedł od teorii poznania do metafizyki dzięki przypisaniu waloru ponadczasowości istocie skończonej, woli. Wola stała się odwieczną substancją świata, ale *w o l a u p r z e d m i o t o w i o n a*, gdyż jedyną jej właściwością jest dążenie do uzewnętrznienia się (do obiektywizacji).

Czym właściwie jest „wola uprzedmiotowiona” w metafizyce Schopenhauera? Otóż w każdym zjawisku świata tkwią ukryte różne możliwości, które zaktualizują się w sprzyjających warunkach zewnętrznych. Ta możliwość działania, ta skłonność do określonych przemian jest ową uprzedmiotowioną wolą. A ponieważ świat empiryczny jest pełen

przedmiotów z uprzedmiotowioną wolą, to cały świat jako całość jest przedmiotem woli. Ta wola jednak nie jest bytem odrębnym od świata, ani nie istnieje poza światem, nie jest też przyczyną materialną powstania świata. Jest natomiast kategorią (tzn. filozoficznym pojęciem), za pomocą której można świat zrozumieć – jego jedność, a zarazem wielość, jednorodność i różnorodność, zmienność i niezmienność, porządek i chaos, celowość i bezsens. Zrozumieniu tego sprzyja pojęcie woli uprzedmiotowionej jako praszubstancji świata. Dlatego pojęcie woli uprzedmiotowionej jest w filozofii Schopenhauera kluczem do jego metafizyki. Przy jej pomocy świat można i należy zrozumieć oraz go osądzić. Wewnątrz bowiem istotę świata stanowi wola, zewnątrz natomiast objawia się on jako wyobrażenie. A istotę tej empirycznej metafizyki pojmującej osnowę świata jako irracjonalną uczynił Schopenhauer tytułem swego głównego dzieła – *Świat jako wola i przedstawienie* (w oryg. *Die Welt als Wille und Vorstellung*, 1819). W konsekwencji posługiwał się nie dialektyką Hegla, lecz bezpośrednio introspekcją.

Przyjmując, że istotą świata jest irracjonalna wola życia, wyjaśniał: „Wszystko ciśnie się i dąży do istnienia, w miarę możliwości do istnienia organicznego, tj. do życia, a następnie do spotęgowania go jak najbardziej (...). Spójrzmy na nieskończoną gotowość, łatwość i bujność, z jaką wola życia pcha się niecierpliwie do istnienia w milionach postaci, wszędzie i zawsze, za pomocą zapłodnienia i kiełkowania, co więcej, gdzie ich brak, z pomocą *generatio aequivoca*” (tj. metodą samoródtwa). Rozważania Schopenhauera o woli życia, obszerne i obecne w różnych jego pismach, można zamknąć takim oto jego

zdaniem: „słusznie uznałem wolę życia za coś, co nie podlega dalszemu wyjaśnianiu, lecz co należy położyć u podstaw wszelkiego wyjaśnienia i co w przeciwieństwie do absolutu, do tego, co nieskończone, do idei i podobnych mu wyrażań nie jest tylko pustym dźwiękiem, lecz czymś najpierwszym wśród tego, co znamy, bo samym jądrem rzeczywistości” (w: *Świat jako wola i przedstawienie*, 1995, t. II, s. 509). Dlatego Schopenhauer posługiwał się w swojej filozofii nie powszechnie panującą wtedy metodą dialektyczną Hegla, lecz bezpośrednią introspekcją. Trudne to? Oj, chyba bardzo trudne, ale inne być nie może, jeśli nie mamy zniekształcić prezentowanej metafizyki Schopenhauera.

Ten świat jednak, w metafizyce Schopenhauera, istnieje odwiecznie i odwiecznie jest skazony. Świat jest zły ze swej istoty. Lepszym nigdy nie był i nie będzie. Dlatego bezcelowe są wszelkie wysiłki zmierzające do jego naprawy, a filozofowie głoszący ideę postępu prowadzą myśl teoretyczną na manowce. Wina świata polega na samym jego istnieniu. Istnienie jest bowiem synonimem cierpienia. Jest to elementarna prawda wszelkiej samowiedzy, którą filozofia przekłada na dyskursywny język prawd ogólnych. To totalny pesymizm znajduje więc u Schopenhauera uzasadnienie metafizyczne. Zło nie tylko zawsze jest w świecie obecne, lecz jest ono pierwotne w stosunku do wszelkiego dobra. Dobro bowiem daje się pojąć tylko jako brak zła, ściślej: jako jego zawiązanie, gdyż całkowicie usunąć go nie można.

Zło jest zawsze jednorodne. Zawsze przejawia się w krzywdzie i zawsze przybiera postać krzywdy doznawanej lub wyrządzonej. Doznawaną krzywdę

zawsze odczuwa się jako zło bezpośrednie. Krzywda wyrządzana objawia się jako zło dopiero za pośrednictwem wyrzutów sumienia. **ZŁO JEST WIECZNE!** Zawarte jest w świecie przedmiotowym immanentnie i nigdy nie zniknie, bo nigdy nie zniknie świat. Świat jest tak zły, że gorszy już być nie może. Będzie trwał równie zły, tak samo jak zły był przed wiekami. Pesymistyczna to wizja świata, a jej pesymizm znajdzie swoje miejsce w etyce Schopenhauera. I oto człowiek w obliczu tego zła stoi sam i musi określić do niego swój stosunek nie licząc ani na Boga, ani na Mesjasza, ani na anioła-mściciela, ani na przyszłe pokolenia. W obliczu tego zła żyjąc Schopenhauer formułuje refleksję etyczną. Tworzy etykę równie pesymistyczną jak jego metafizyka, a tworząc ją wydaje wyrok na ten zły świat, wskazując równocześnie człowiekowi etyczny sposób życia, w swoim przekonaniu jedynie trafny i jedynie poprawny, uważa bowiem, że czyny ludzkie mają wartość metafizyczną, tj. ich doniosłość etyczna przekracza sferę świata zjawiskowego i wkracza w sferę wieczności.



### 3. Współczucie centralną kategorią etyki Schopenhauera

Jego etyka jest konsekwencją jego koncepcji ontologicznej. Jest pełna pesymizmu. Świat jest ze swej natury zły, na jego dnie leży bezrozumny popęd, którego zaspokoić trwale nic nie może. Człowiek dąży do szczęścia, ale nie może go osiągnąć, nawet swego życia na stałe utrzymać nie może. Życie upływa mu w troskach i kłopotach. Najgorszy jest lęk przed śmiercią (lęk metafizyczny). Zachowanie swego życia na stałe jest nieosiągalne, wszelki bowiem byt przedmiotowy jest bytem skończonym i dążenie do nieśmiertelności jest z góry skazane na niepowodzenie. W takiej sytuacji człowiek szuka pociechy, jeden w filozofii, drugi w religii, bądź w jakichś innych złudnych pomysłach i nadziejach. Dlatego życie jest jedną wielką męką i udręką.

Jako środek zaradczy Schopenhauer wskazuje trzy różne lekarstwa mogące przyjść człowiekowi z pomocą. Jedno zaczerpnął z filozofii indyjskiej, drugie z religii chrześcijańskiej, a trzecie ze sztuki. Z filozofii indyjskiej czerpał zalecenie w y z b y c i a s i ę pożądań i potrzeb doczesnych, co uwolni człowieka od przygnębienia i cierpień. Drugie lekarstwo wzięł z etyki chrześcijańskiej. Było nim w s p ó ł c z u c i e, które uczynił podstawą swojej etyki. Jako trzecie lekarstwo wskazywał s z t u k ę. Piękno bowiem i jego kontemplacja wciąż nieszczęśliwego człowieka w świat przeżyć estetycznych, w czasie których ustaje działanie popędów i woli, słabną też pożądania. Tylko w kontemplacji zalecanej już przez Platona (IV w. p.n.e.) można poznać uroki wiecznych idei, odprężyć własne napięcia i niepokoje, zanurzyć się w pięknie (muzyki, malarstwa, rzeźby...) i uciec przed nędzą życia. Większość jednak tekstów swojej filozofii moralnej poświęcił Schopenhauer

współczuciu jako najlepszemu środkowi zaradczemu przeciwko moralnemu złu i metafizycznemu nieszczęściu człowieka.

Etyka Schopenhauera jest konsekwencją jego koncepcji ontologicznej (omówionej wyżej). Przyznaje Schopenhauer, że obok znaczenia fizycznego świat, ten zły świat ma również sens moralny, co ludzkość w swoich dziejach uświadamiała sobie niejasno w postaci przerożnych legend i mitów. Jedyne filozofowie (i to nie wszyscy) zgadzali się jednoznacznie, że najistotniejszą dla świata rzeczą, do której wszystko się sprowadza, jest e t y c z n o ś ć d z i a ł a ń l u d z k i c h. Z owej etyczności swoich działań, w poczuciu własnej odpowiedzialności za sprawczość własnych czynów, człowiek będzie zdawał sprawę przed innymi ludźmi, którzy osądzą nie tyle czyny, ile raczej charakter ich sprawcy, a ten j e g o c h a r a k t e r j e s t w r o d z o n y i n i e z m i e n n y.

Co zatem jest celem etyki Schopenhauera? Cytuję: (...) „ja za cel etyki uważam wytłumaczenie, wyjaśnienie postępowania ludzkiego, tak wielką przedstawiającego różnorodność pod względem moralnym, i w y k a z a n i e j e g o o s t a t e c z n e j p r z y c z y n y. Stąd też według mnie do wykrycia podstaw etyki prowadzi tylko jedna droga, droga empiryczna, która polega na zbadaniu, czy w ogóle istnieją czyny, którym bylibyśmy zmuszeni przyznać istotną wartość moralną – tj. czyny wpływające z dobrowolnej sprawiedliwości, z czystej miłości bliźniego i prawdziwej szlachetności. Stwierdziwszy istnienie takich czynów, będziemy mogli uważać je za zjawisko dane, które należy wyjaśnić, tj. sprowadzić do jego istotnych przyczyn, czyli odnaleźć ową bądź co bądź odrębnej natury pobudkę, która skłania ludzi do czynów tej kategorii, specyficznie

różnej od wszystkich innych. Ta pobudka oraz wrażliwość na jej działanie będą stanowiły ostateczną przyczynę moralności, znajomość zaś tej przyczyny da nam podstawę etyki. Oto jest skromna droga, którą ja zakreślam etyce. (...) Tymczasem ta podstawa, do jakiej dochodzimy drogą przeze mnie wskazaną, opiera się na doświadczeniu, i doświadczenie potwierdza ją każdego dnia i o każdej godzinie”. (A. Schopenhauer, *O podstawie moralności*, Kraków 2015, s. 88).

Wyjaśnia więc Schopenhauer na jakiej podstawie wznosi swoją koncepcję etyki. Píše: (...) „podstawa na której zamierzam wznieść etykę, będzie bardzo wąska, dzięki temu okaże się, iż w liczbie czynów ludzkich, uważanych ogólnie za słuszne, godne uznania i pochwały, drobna tylko część wynika z pobudek czysto moralnych, cała zaś reszta przypada na motywy odmiennej natury. (...) Może znajdą się tacy (...) co oskarżą mnie, iż odejmuję etyce fundament, zamiast go jej zapewnić, ponieważ dowodzę, że słuszne i chwalebne uczynki ludzkie często nie zawierają żadnego pierwiastka czysto moralnego (...). Widzę już w duchu moją teorię obok teorii moich współzawodników (...). Wobec nich moja teoria stoi cicha i uboga (...). Niemniej powierzę się na ten raz prawdzie, gdyż cokolwiek się zdarzy, mój los będzie zarazem jej losem” (tamże, s. 12-13).

Poszukując fundamentów ludzkiej moralności Schopenhauer dostrzega i wyodrębnia trzy zasadnicze pobudki ludzkich czynów: egoizm, złość i współczucie. Egoizm nie ma granic, w skali kosmicznej jest niezniszczalny i pragnie wyłącznie własnego dobra. Złość pożąda cudzego cierpienia i w tym swoim pożądaniu dochodzi nawet do ostatnich granic okrucieństwa. Natomiast współczucie chce tylko cudzego dobra i dochodzi

do szczytów szlachetności oraz wspiania-  
łomyślności. Każdy czyn ludzki da się  
sprowadzić do jednej z tych trzech po-  
budek. Dwie pierwsze – egoizm i złość  
– dyskwalifikują pod względem moral-  
nym czyn ludzki. Trzecia pobudka –  
WSPÓŁCZUCIE – jest jedyną  
prawdziwą i moralną nadającą pozytywny  
charakter moralny czynom ludzkim.  
Ponieważ dotykamy tu istoty etyki  
Schopenhauera, zacytujmy jego własny  
tekst: „Proces, który tu analizuję, nie jest  
bynajmniej czymś urojonym, wziętym z  
wyobraźni; przeciwnie, jest on czymś  
zupełnie rzeczywistym, a nawet wcale nie  
tak rzadkim; jest to codzienne pospolite  
zjawisko współczucia, czyli zupełnie  
bezpośredniego, niezależnego od jakich-  
kolwiek względów ubocznych, udziału naj-  
pierw w cierpieniach jakiejś innej istoty;  
wszelkie bowiem zadowolenie, wszelkie  
poczucie dobrobytu, wszelkie szczęście  
polega w gruncie rzeczy tylko na  
braku cierpienia. To współczucie jest  
jedyną rzeczywistą podstawą dobrowolnej  
sprawiedliwości i prawdziwej miłości  
bliźniego. Wszelki czyn tylko o tyle  
posiada wartość moralną, o ile wynika ze  
współczucia; czyn zaś, który wynika z  
jakichkolwiek innych pobudek, nie  
posiada żadnej wartości moralnej. Z  
chwilą gdy we mnie budzi się  
współczucie, dobro lub krzywda  
innej istoty staje się dla mnie  
czymś bezpośrednim i bliskim,  
zupełnie w ten sam sposób. Choć nie  
zawsze w tym samym stopniu, co i  
moje własne; a wówczas różnica  
między mną a ową istotą przestaje  
być absolutna”. (tamże, s. 100; spacje  
w cytatach – P. Sz.).

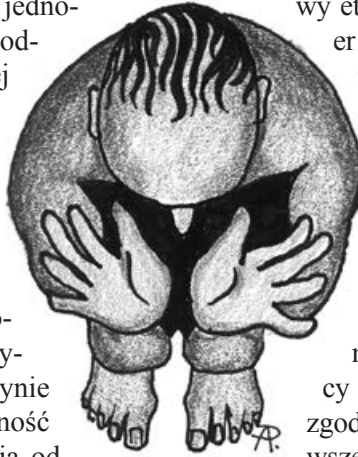
Współczucie więc jest jedynym  
źródłem czynów ludzkich posiadających  
pozytywną wartość moralną. Ono jest  
podstawą etyki i jedyną zasadą,

która wywiera rzeczywisty i daleko  
sięgający wpływ na sprawy ludzkie;  
czego nie można powiedzieć o  
którejkolwiek z zasad moralnych  
zalecanych przez filozofów czy  
teologów. Zacytujmy znowu:  
„Nieograniczone współczucie dla  
wszystkich istot żyjących jest  
najtrwalszą i najpewniejszą  
rękojmą moralnego postępowania  
i obywatela się bez kazuistyki.  
Kto jest przejęty tym  
współczuciem, ten nikomu nie  
wyrządzi krzywdy, nikomu nie  
sprawi cierpienia; przeciwnie,  
będzie dla każdego pobłażliwy,  
każdemu przebaczy, każdemu  
w miarę sił pomoże, a wszystkie  
jego czyny będą nacechowane  
sprawiedliwością i miłością  
bliźniego” (tamże, s. 126-127).

Co więcej, nawet cnota  
sprawiedliwości i miłości ma swe  
źródło we współczuciu. Bo  
nieszczęście jest źródłem  
współczucia, a współczucie  
źródłem miłości bliźniego i  
sprawiedliwości. „Sprawiedliwość  
i miłość bliźniego – pisze  
Schopenhauer – dają początek  
wszystkim innym cnotom i  
dlatego nazywamy je cnotami  
głównymi. Przez wykazanie  
ich wspólnego źródła położy-  
liśmy kamień węgielny pod  
gmach etyki. Sprawiedliwość  
wyczerpuje całą etyczną treść  
Starego Testamentu, miłość  
bliźniego jest treścią Nowego;  
ona to stanowi owo *prawo  
nowe* (Jan 13, 34), w którym  
według Pawła (*Do Rzymian*  
XIII, 8-10) zawierają się  
wszystkie cnoty chrześcijańskie”  
(tamże, s. 121-122). I dodaje:  
„To bezpośrednie współczucie,  
nieoparte na żadnej  
argumentacji i obywatela się  
bez niej, jest jedynym  
źródłem miłości bliźniego,  
*caritas*, czyli cnoty, której  
zasadą jest: *omnes, quantum  
potes, iuva*, (tzn. wspieraj  
każdego według możliwości  
swojej), a z której z kolei  
wypływa to wszystko, co  
etyka przepisuje pod nazwą  
obowiązków cnoty, obowiązków  
miłości, cnot niedoskonałych.  
Ten

zupełnie bezpośredni, a nawet wprost instynktowny udział w cudzych cierpieniach jest jedynym źródłem czynów posiadających wartość moralną, tj. takich czynów, które są wolne od jakichkolwiek pobudek samolubnych i które, wskutek tego, w nas samych wzbudzają stan zadowolenia wewnętrznego, znanego pod nazwą czystego, zaspokojonego sumienia, a w widzach – szczególnego rodzaju uznanie, szacunek i podziw.” (tamże, s. 118). Przyznając moralną wartość czynom motywowanym wyłącznie współczuciem, Schopenhauer jednoznacznie i zdecydowanie odmawia wartości moralnej czynom motywowanym egoizmem, czyli własną przyjemnością lub chęcią uniknięcia własnej przykrości. Wyjątek stanowi sytuacja, kiedy ktoś podejmuje się dokonania lub zaniechania czynu sobie przyjemnego jedynie po to, by sprawić przyjemność innej osobie, lub ustrzec ją od przykrości albo innego jakiegos nieszczęścia.

Owo współczucie, będące jedynym źródłem postępów nieegoistycznych i wszelkich czynów moralnie pozytywnych jest tworem (darem) natury. To natura wyposażyła człowieka w zdolność współodczuwania cierpienia z innymi ludźmi. Dar ten dostępny jest wszystkim, również niewykształconym ludziom, nie znającym etycznych teorii filozoficznych ani pojęć abstrakcyjnych. Wystarczy im prosta i czysta intuicja, która na widok czyjegos nieszczęścia uruchamia w prostym człowieku odruch współczucia. **F u n d a m e n t m o r a l n o ś c i t k w i z a t e m w n a t u r z e,** nie w spekulacjach filozofów ani teologów. Bez ich udziału człowiek, słuchając



„głosu natury” może prowadzić życie moralnie pozytywne, jego bowiem źródłotkiwi w przyrodzonym współczuciu – darze natury. Empirycznie stwierdzone istnienie współczucia jako źródła moralności – podkreśla Schopenhauer – „odbiega bardzo daleko od wszelkich mędrkowań, sofizmatów, z powietrza wziętych twierdzeń i apriorycznych baniek mydlanych, podawanych przez dotychczasowe systemy za źródło moralnego postępowania i za podstawę etyki” (tamże, s. 97). Dla-

tego wypracowane przez Kanta podstawy etyki umieszcza Schopenhauer „w otchłani błędów filozoficznych, są one bowiem tylko hipotezą i zamaskowaną moralnością teologiczną”. Atakuje Kantowski imperatyw kategoryczny nakazujący określone postępowanie etyczne, zabezpieczone sankcją nagrody lub kary (obietnicy lub groźby). Postępowanie zgodne z tym imperatywem zawsze będzie interesowne (dla nagrody lub uniknięcia kary), czy-

li będzie pozbawione wartości moralnej, wszelki bowiem czyn, dokonany dla nagrody lub uniknięcia kary (a tak jest w etyce katolickiej i innych etykach religijnych!), jest czynem samolubnym czyli pozbawionym wartości czysto moralnej. Etyka Schopenhauera natomiast jakkolwiek normatywna, nie stosuje sankcji w postaci nagrody lub kary, nie posługuje się również pojęciem obowiązku. Wyjaśnia na czym polega dobro moralne, ale nie usiłuje przymusić, więcej – nakłaniać do jego realizacji. Jest pod tym względem podobna do poglądów starożytnych Greków, których etyka prezentowała dobro, ale nie operowała pojęciami nakazu ani obowiązku i nie stosowała sankcji, lecz dawała rady; zamiast obowiązków

podawała wykazy cnót, nie znała też grzechu, lecz tylko błąd.

#### 4. Zakończenie – ostatni etap i życie po życiu Schopenhauera

Po śmierci Hegla (1831) pojawia się w Niemczech hasło „upadku idealizmu”. Szkoła heglowska rozpada się na staro – i młodoheglistów, zwanych też prawicą i lewicą heglowską. Pojawia się nowe myślenie. Działa Ludwik Feuerbach, Karol Marks, Søren Kirkegaard i Artur Schopenhauer, na którego spekulatywny idealizm Hegla nie wywiera już żadnego wpływu. Rozwija się i kwitnie romantyzm. Schopenhauer prezentuje nową odmianę idealizmu niemieckiego, którego cechą jest pierwszoplanowa rola woli w metafizycznej wizji świata i centralna funkcja rozumu praktycznego w antropologii wraz z metafizycznym pesymizmem w etyce.

Po wycofaniu się z pracy na uniwersytecie w Berlinie, mimo publikacji kolejnych rozpraw filozoficznych Schopenhauer nie znajduje uznania w środowisku filozoficznym. Jego książki nie znajdują nabywców. W roku 1835 dowiaduje się od swego wydawcy, że prawie cały nakład książki *Świat jako wola i przedstawienie* poszedł na przemiał. Schopenhauer własnym nakładem publikuje kolejne tytuły, niestety, nie są one w środowisku uczelnianym zauważone, nie pojawia się żadna ich recenzja. Królewskie Duńskie Towarzystwo Naukowe odrzuca zgłoszoną do konkursu o nagrodę jego rozprawę na temat podstawy moralności. Schopenhauer we Frankfurcie wieździe „życie odludka” rozgoryczony niepowodzeniem swoich publikacji.

We Francji, Włoszech i Niemczech trwają rozruchy społeczne. W roku 1848 ma miejsce Wiosna Ludów. Schopenhauer wspomaga finansowo Fundusz Pomocy Żołnierzom pruskim, rannym

w czasie tych rewolucyjnych zamieszek. Zmieniają się czasy, idzie Nowe. Hegel z jego idealizmem należy już do przeszłości. Nowe szło zarówno w polityce jak i filozofii.

Przełom w życiu Schopenhauera nastąpił po ukazaniu się w roku 1851 jego zbioru rozpraw aforystycznych *Parerga und Paralipomena* (wyd. pol. *Aforyzmy o mądrości życia*, tłum. Jan Garewicz, Warszawa 1974) oraz drugiego tomu *Świata jako woli i przedstawienia*. Po raz pierwszy pojawiły się recenzje i to entuzjastyczne. Schopenhauer stał się nagle sławny. W 1855 roku fakultet filozofii w Lipsku ogłosił konkurs na rozprawę poświęconą zasadom filozofii Schopenhauera, a rok później na uniwersytetach w Bonn i we Wrocławiu wygłoszono pierwsze wykłady monograficzne poświęcone jego filozofii. Złagodniał wtedy jego pesymizm, Schopenhauer stał się bardziej towarzyski i mniej zgryźliwy dla otoczenia. Pojawiło się grono przyjaciół. On, który przez całe życie panicznie bał się śmierci, teraz oczekiwał na nią w spokoju ducha. Obawiał się jedynie, że ta śmierć zbyt wczesna uniemożliwi mu trzecie wydanie *Świata* ... Wydanie jednak ukazało się przed jego zgonem, który nastąpił 21 sierpnia 1860 r.

Jego sława rozkwitła dopiero po jego śmierci. Wznowiono publikację jego dzieł, które czytali teraz wszyscy, którzy o nim słyszeli. Wstydem było w środowiskach jako tako wykształconych nie umieć gawędzić o poglądach Schopenhauera. Nie zaistniała jednak szkoła filozoficzna zwana „schopenhaueryzmem”. Zaistniało natomiast założone w Niemczech w roku 1911 specjalne stowarzyszenie poświęcone jego filozofii – SCHOPENHAUERGESELLSCHAFT.

□

Korzystałem m.in. z: J. Garewicz, Schopenhauer, wyd. 3, 2000.

JAN CZAJKOWSKI

## Buddyzm

### 1. Historyczny Budda

Buddyzm jest religią prawie pół tysiąca lat starszą od chrześcijaństwa, jej założyciel bowiem urodził się między 567 a 560 rokiem p.n.e. Był nim Siddhartha Gautama, ksiączę z królewskiego rodu Siakjów, panującego w niewielkim królestwie Kapilawastu niedaleko granicy z Nepalem, około 200 kilometrów na północ od Benares w Indiach.

Jego młodość otacza wiele legend, jak to zwykle bywa u osób, które swą działalnością wywarły wielki wpływ na życie społeczne w określonym rejonie świata. Jedna z nich głosi, że matka poczęła go bez udziału mężczyzny, syn bowiem wszedł w jej łono w postaci białego słonia, a przy jego narodzinach świat miał się wypełnić promiennym blaskiem. Dlatego przepowiadano, że będzie on tym, który oświeci świat. Wróżbici orzekli, że noworodek ma szansę zostać „wielkim mężem, władcą uniwersalnym, albo cesarzem, bądź też Buddą”. By zapobiec nieszczęściu zostania Buddą, jego ojciec Suddohana rządzący tym małym państwem ożenił 16-letniego młodzieńca, otoczył go dobrobytem, wręcz luksusem i dziwił się, że syn jego nie okazuje większego zainteresowania otaczającym go bogactwem. W jego środowisku powstawały kolejne jego przydomki. Nazywano go Siddharta, to jest „Ten, który osiągnął swój cel” – Gautama, gdyż jego rodzina była związana z wedyjskim jasnowidzem Gotamą – Siakjasinha, tj. „Lew Siakja” – Siakjamuni, tj. „Pustelnik z rodu Siakjów” – Budda, tj.

„Przebudzony” – Bhagawat, tj. „Wzniosły” – Tathagata, tj. „Skończony” czyli ten, który przebył wskazaną mu drogę – Bodhisattwa, tj. „Ten, który ma być oświecony”.

Młodego księcia (przyszłego Buddę) troskliwie wychowywano w pałacu, izolując go starannie od biednego otoczenia. Wyjeżdżał jednak z pałacu na wycieczki. W czasie jednej z nich, jak głosi legenda, ukazały się mu cztery bóstwa w postaci zgrzybiałego starca, człowieka chorego, następnie zwłoki zmarłego niesione na stos pogrzebowy, wreszcie żebrzącego ascetę tchnącego zadowoleniem i spokojem. Gdy woźnica wyjaśnił mu znaczenie tych zjaw, w myśleniu młodego księcia nastąpił przełom. Zrozumiał, że w kontekście tych cierpiących i umierających ludzi spokój człowiekowi może dać tylko religijna pogoda ducha, jaką odznaczał się żebrzący mnich. Odesłał więc woźnicę do pałacu, a sam wyruszył „w świat”. Zrobił to w dniu urodzenia syna. Żeby zapobiec pałacowej pogoni, zamienił swoje książeńce ubranie z napotkanym żebrakiem i oddalił się, by wieść życie wędrującego mnicha.

W swej wędrowce spotykał i słuchał, różnych mnichów, ich kazania jednak nie dawały mu zadowolenia. Wreszcie zastosował bardzo ostry i długotrwały post, który o mało nie przyprawił go o śmierć. Wycofał się więc z postu i wzmocniony na ciele dalej wędrował, słuchając kolejnych mędrców, nie znajdując jednak w ich przemówieniach zadowolenia. Postanowił więc samodzielnie rozwiązać

dręczący go problem. Pod miastem Uruwela oddał się całonocnej medytacji, w czasie której osiągnął stan doskonałej obojętności na wszystko i zdobył – jak piszą w księgach buddyjskich – trzy „wiedze” (tj. wiedzę o trzech dręczących go problemach, stanowiących istotę buddyzmu), mianowicie:

- a) przypomniał sobie swoje poprzednie żywoty,
- b) zrozumiał, że wędrówka istot ludzkich (ich kolejne wcielenia) zależy od wartości moralnej popełnionych czynów, tzn. że złe uczynki powodują nędzę istnienia, dobre zaś zapewniają pomyślny los,
- c) odkrył cztery „szlachetne prawdy” odnoszące się do mechanizmu owej wędrówki i pouczające, jak można uwolnić się od tych ustawicznych wcieleń. Były to prawdy: o cierpieniu, o powstawaniu cierpienia, o usuwaniu cierpienia i o drodze wiodącej do jego usuwania.

Osiągnięcie wiedzy o tych trzech problemach nazywa się PRZEBUDZENIEM (bodhi) bądź OŚWIECENIEM, dzięki któremu Siddharta Gautama stał się BUDDĄ i żyjąc, dzięki osiągniętemu oświeceniu wszedł do Nirwany. Buddyjskie księgi święte opowiadają, że miał to miejsce pod świętym drzewem „bo” (figowcem) w pobliżu miejscowości Gaja. Informują również owe księgi, jak to zły duch Mara usiłował odwieść medytującego od podjętych niezłomnych postanowień, co jednak mu się nie udało. Cały ten proces przebudzenia czyli osiągnięcia oświecenia zakończył się wygłoszeniem przez Buddę kazania, którego wysłuchało obecnych tam pięciu mnichów, którzy następnie przyłączyli się na stałe do jego towarzystwa. Kazaniem tym Budda wprowadził w ruch „KOŁO NAUKI”, albo inaczej „KOŁO PRAWA”,

i wyruszył głosić innym odkryte przez siebie cztery szlachetne prawdy. Dlatego do dziś symbolem buddyzmu jest „koło prawa” – okrągła tarcza ze szprychami. Owa tarcza jest symbolem Słońca, które przebiega ponad wszystkimi krajami i wszędzie rozsiewa swój blask. Podobnie Budda zdobywa świat, głosząc swoją naukę.

Budda aż do osiemdziesiątego roku życia wędrował po północnych Indiach nauczając, dokonał wielu cudów i pozyskał dla swego „dobrego prawa” wielu wyznawców, mnichów, mniszek oraz świeckich mężczyzn i kobiet. Zmarł w Kusinagara i w ten sposób realnie wstąpił do Nirwany. Miało to się zdarzyć w 480 r. p.n.e., ale buddyści w różnych krajach podają różne daty jego śmierci. Dlatego w maju roku 1956 obchodzono dwupółtysięczną rocznicę wstąpienia Buddy do Nirwany. W tym też roku odbył się ogólnoswiatowy Sobór buddyzmu.

## 2. Księgi święte buddyzmu

Jest ich bardzo wielka ilość, powstały bowiem sukcesywnie od czasów Buddy poprzez wieki, spisywane w języku palijskim i w sanskrycie. Najbardziej znany jest Kanon Palijski w buddyzmie Theravada. Jest to zbiór nauk buddyjskich spisanych w języku palijskim noszący nazwę TIPITAKA (sanskryt: tri-pitaka) czyli TRÓJKOSZ, składający się z trzech części:

- Vinaja Pitaka, to Kosz reguł zakonnych dla mnichów i mniszek,
- Sutta Pitaka, to Kosz Nauk (sutt), zawiera ponad dziesięć tysięcy sutr i dyskursów, które wygłosił Budda do swych uczniów.
- Abhidhamma Pitaka, to Kosz dodatkowej nauki, zawierający objaśnienia i teksty filozoficzne dotyczące

Dharmy, sformułowane przez samego Buddę kilka tygodni po osiągnięciu przez niego Oświecenia (po całonocnej medytacji pod drzewem „bo”).

Kanon Palijski obowiązywał w różnych szkołach buddyjskich, a było tych szkół około trzydziestu i każda z nich posiadała dodatkowo własny zbiór sutr, czyli nauk. Buddyzm Tybetański uznaje za święte wszystkie teksty Kanonu Palijskiego, a także sutry i siostry Mahajany oraz teksty tantryczne. Ponadto Tybetańczycy stworzyli TYBETAŃSKĄ KSIĘGĘ UMARŁYCH, zawierającą zbiór rytuałów, które sprawuje się nad umierającym.

### **3. Buddyjski obraz świata czyli teoria bytu (ontologia) buddyzmu**

Ten problem został omówiony w numerze 76 Forum Myśli Wolnej, na s. 18-21.

### **4. Antropologia buddyzmu**

Budda doznawszy oświecenia odrzucił wszelkie tzw. prawdy objawione i za jedyny autorytet w dochodzeniu do prawdy uznał osobiste doświadczenie nabyte w trakcie medytacji. W buddyzmie modlitwa nie istnieje, istnieje jedynie medytacja. Budda sam, osobiście medytując odkrywał prawdę i głosił ją innym. Odrzucał więc wiarę w wiecznego Boga i w istnienie ludzkiej duszy, mającej jakoby być odbiciem Boga, bądź nawet być jego częścią. W miejsce duszy umieścił tzw. „czynniki bytu” zwane przez niego „dharmami”. Głosił, że każda istota żyjąca, a więc i człowiek, jest przemijającym połączeniem tych czynników bytu zwanych „dharmami”. Stworzył w ten sposób tzw. doktrynę zależnego powstawania, omówioną przeze mnie w przytoczonym powyżej numerze FMW.

Głównym problemem w buddyzmie było jednak zagadnienie losu człowieka i wszystkich innych istot żywych po ich śmierci. Problem ten to tzw. wędrówka dusz, w którą od dawna wierzono w Indiach. Wierzono mianowicie w pośmiertne odradzanie się ludzi w postaci bogów, demonów czy nawet zwierząt, odradzanie się wielokrotnie, mogące nawet nigdy nie mieć końca (metempsychoza). Budda szukał sposobu przerwania tego łańcucha wcieleń i znalazł go w NIRWANIE, która polega na tym, że człowiek przez pozbycie się pragnienia życia może wejść do absolutnej „nicości”, która jednak nie jest ani bytem ani niebytem, a tego „wejścia w zaśnięcie” doznaje się za życia psychologicznie biorąc przez osobę, realnie zaś przez śmierć. Budda wszedł do Nirwany już za swego życia, gdy pod drzewem „bo” osiągnął oświecenie. Każdy inny człowiek, podobnie jak Budda, może wejść do Nirwany; jeśli jednak nie osiągnie oświecenia za swego życia, to jego wejście do Nirwany po śmierci uzależnione jest od wcześniejszego poznania – jeszcze za życia – czterech szlachetnych prawd i od kroczenia przez życie ośmioraką ścieżką. Prawdy te stanowią esencję nauki buddyjskiej o człowieku. Oto one:

**PIERWSZA SZLACHETNA PRAWDA** o cierpieniu głosi, że narodziny są cierpieniem, starzenie się jest cierpieniem, śmierć jest cierpieniem, rozpacz, lament, ból i napięcie są cierpieniem, powiązanie z niechcianym jest cierpieniem i rozłąka z upragnionym jest cierpieniem, nie osiągnięcie pożądanego (obiektu, J. Cz.) jest cierpieniem.

**DRUGA SZLACHETNA PRAWDA** o przyczynie cierpienia głosi, że tą przyczyną jest pragnienie, które tworzy dalsze stawanie się – któremu towarzyszy namiętność i zachwyty, znajdujące

rozkosz to tu, to tam, pragnienie zmysłowej przyjemności, pragnienie stawania się, pragnienie niszczenia się.

TRZECIA SZLACHETNA PRAWDA o ustaniu cierpienia głosi, że jest to całkowite zaniknięcie i ustanie, wyrzeczenie się, zaniechanie, wyzwolenie, opuszczenie pragnienia.

CZWARTA SZLACHETNA PRAWDA o ścieżce prowadzącej do ustania cierpienia zawiera w sobie Ośmioraką Ścieżkę, która jest częścią praktyczną tej Prawdy, mówiącą o szeroko pojmowanej dyscyplinie. Owa Szlachetna Ośmioraka Ścieżka to: właściwy pogląd, właściwe postanowienie, właściwa mowa, właściwe działanie, właściwy żywot, właściwe dążenie, właściwe skupienie i właściwa medytacja.

Akceptacja Czterech Szlachetnych Prawd i realizacja Ośmiorakiej Ścieżki daje gwarancję osiągnięcia Nirwany. Czym więc

jest ta Nirwana? Wikipedia informuje, że „w buddyzmie Nirwana oznacza: powstrzymanie stawania się, pozbycie się żądz, wyzwolenie umysłu, całkowite ustanie starości i śmierci. Dosłownie to *zanik, zgaśnięcie*, jeżeli jednak ten *zanik* porównać do gasnącego płomienia, to nie zanika on, ale żyje i utrwała się w innym stanie. Stan wiecznej, transcendentnej szczęśliwości, nie dający się pojąć ograniczonym rozumem, a tym bardziej

słowami”. Istnieje wiele określeń Nirwany, zawartych w tekstach świętych buddyzmu. Odsyłam zainteresowanych Czytelników do pracy zbiorowej pt. *BUD-DYZM*, Kraków 1987, s. 73-74, gdzie jest jedenaście definicji Nirwany, z których

przytaczam tylko jedną: „Nibbana, Nibbana, mówią. Czymże atoli, przyjaciele, jest ta Nibbana? Wygaszeniem

pożądań, wygaszeniem nienawiści, wygaszeniem złudzenia – owóż to, przyjaciele, nazywa się Nibbana” (s. 73). Interesującą charakterystykę nirwany formułuje Edward Conze w swojej książce *Buddhism. Its Essence and Development* (1959), a przytacza ją Karen Armstrong

w swojej *Historii Boga* (wyd. pol. 1995, s. 58):

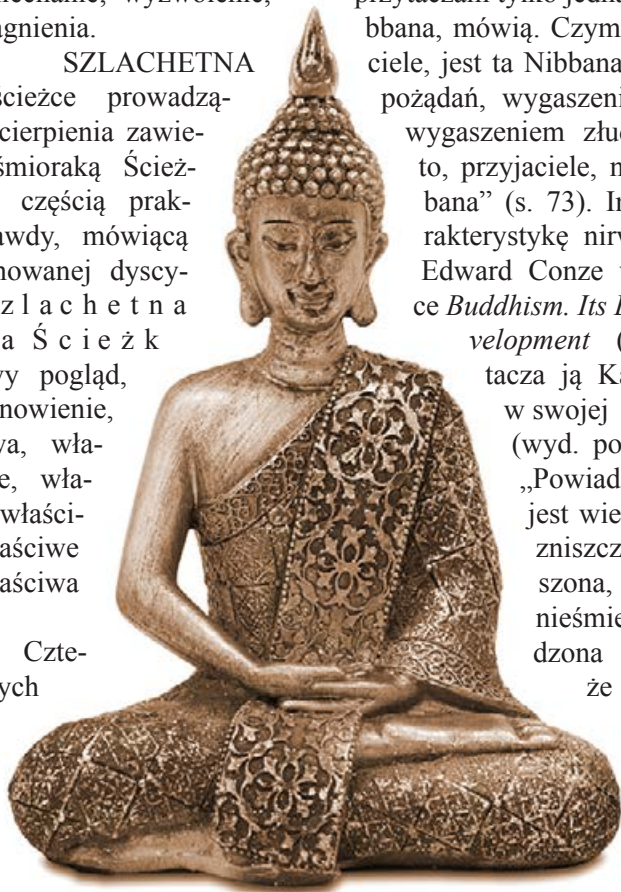
„Powiadają, że nirwana jest wieczna, stała, niezniszczalna, niewzruszona, nieskończona, nieśmiertelna, nie zrodzona i niestwarzalna,

że jest mocą, błogością i szczęściem, spokojną przystanią, schronieniem i niewzruszonym bezpieczeń-

stwem, że to rzeczywista Prawda i najwyższa Rzeczywistość; że jest to Dobro, najwyższy cel i jedyne spełnienie naszego żywota, wiekuisty, ukryty i niepojęty Spokój” (Conze, s.40).

## 5. Etyka buddyzmu

Nauka Buddy nie była religią, a sam Budda nie był religijny w naszym, europejskim rozumieniu tego słowa. Źródła jednak świadczą, że Budda w swym



praktycznym nauczaniu nie zerwał całkowicie z obiegowym pojmowaniem religijności i moralności, gdyż chciał i umiał dostosować się do poziomu i do przyzwyczajęń swoich słuchaczy. Dlatego mówił o bogach i nawet kazał składać im ofiary, gdyż „mogą istnieć”. Wspominał też o niebie z jego szczęśliwością i tymczasowym piekle z jego utrapieniami, ale wszystko to, zdaniem Buddy, istniało tylko dla tych, którzy wierzą w to istnienie, gdyż jeszcze nie osiągnęli oświecenia, jeszcze nie przejrzelili i nie wyzwolili się od egzystencji. Dla takich ludzi można pozostawić całą mitologię i wiarę w wędrówkę dusz. Dla takich ludzi trzeba też opracować normy życia, wskazać drogę, którą winni iść, zanim osiągną Nirwanę.

Dla łatwiejszego osiągnięcia Nirwany i lepszego zrozumienia Czterech Szlachetnych Prawd połączonych z Ośmioraką Ścieżką księgi święte buddyzmu zawierają szereg ówczesnych zasad i etycznych, odrębne dla osób świeckich wyznających buddyzm, odrębne dla mnichów buddyjskich i dla mniszek.

Podstawową zasadą etyczną obowiązującą w s z y s t k i c h b u d d y s t ó w jest prawo moralne „ahinsy”, zaczerpnięte z panującego wówczas w Indiach hinduizmu. „Ahinsa” to etyczna zasada zachowania życia, zabraniająca niszczenia w naturze czegokolwiek, co nie jest konieczne dla codziennego utrzymania. Zasada ta w ujęciu buddyjskim zobowiązywała do sympatii, przyjaźni i życzliwości wobec wszelkich istot żywych, okazywanej w myślach, słowach i czynach. Zasada ta przyczyniła się do zaniku krwawych ofiar ze zwierząt, do utrwalenia stosowanego od wieków kultu świętej krowy w Indiach, do budowania specjalnych szpitali dla starych i chorych zwierząt, do wykupywania i uwalniania zwierząt przeznaczonych na rzeź. Zasada ta

zobowiązywała mnichów do noszenia ze sobą szczotki z piór i usuwania nią owadów z drogi, którą kroczył mnich. Mnichowi nie wolno było chodzić o zmroku, by nie uszkodził niższych form życia, usta winien mieć zakryte welonem, by nie połknął bardzo drobnych owadów. Wodę winien pić precedzoną, by nie wyrządzić krzywdy żyjącym w niej bardzo małym stworzeniom. W klasztorze nie wolno było używać lamp z otwartym płomieniem, by nie wpadały weń nocne ćmy. Nie należy się kąpać, bo to grozi insektom żyjącym na ludzkim ciele; należy je delikatnie zebrać i wypuścić na wolność. Z zasady „ahinsy” wynikała też praktyka wegetarianizmu.

#### a) Szczegółowe wskazania etyczne dla laików

W buddyzmie ludzie dzielą się tylko na dwie grupy: laików (wyznawców świeckich) i mnichów. Zgłaszając chęć przystąpienia do buddyzmu, laik brał na siebie obowiązek przestrzegania pięciu następujących przykazań.

**PIERWSZE PRZYKAZANIE** – nie zabijaj. Zabraniało ono nie tylko pozabawiania życia człowieka, ale i wszystkich innych istot żyjących, gdyż „bliźnim” w buddyzmie jest nie tylko człowiek, lecz również każda istota żyjąca. Ponadto przykazanie to zabraniało handlu bronią (służącą wszak do zabijania), trunkami i trucizną. Nakazywało przełamywać ludzkie namiętności i w ten sposób wyzwalać swe serce, budząc w sobie uczucie przyjaznej życzliwości wobec wszystkich istot. Przykazanie to obejmowało również tolerancję religijną, zabraniając wychwalania własnej religii, a ponizania lub lekceważenia innych.

**DRUGIE PRZYKAZANIE** – nie kradnij. Zabraniało zabierania cudzej rzeczy, nawet cudzego źdźbła trawy. Nakazywało zaś być hojnym, pomagać

chętnie innym. Cnota hojności była u buddystów stawiana chyba najwyżej w hierarchii cnót.

TRZECIE PRZYKAZANIE – prowadź życie czyste. Zabraniało zdrady małżeńskiej. Za cudzołóstwo groziła najsurowsza kara, ciągnąca się przez wieki.

CZWARTE PRZYKAZANIE – nie kłam. Zabraniało nie tylko świadomego wprowadzania innych w błąd czyli kłamania, ale też oczerniania (mówienia o kimś nieprawdy), ganienia zamiast chwaleń i chwaleń zamiast ganienia oraz aprobowania kłamstwa i nakłaniania doń. Przykazanie nakazywało mówienie tylko prawdy, wyrażanie się dobrze o bliźnich, stosowanie słów uprzejmych, unikanie grubiaństwa.

PIĄTE PRZYKAZANIE – nie pij napojów upajających. Zakaz ten w szczególności sprzyjał higienie życia w gorącym indyjskim klimacie. Przykazanie to zabraniało również namawiania do picia i chwaleń pijących, gdyż – jak uzasadniano – pijaństwo kończy się obłądem, a wcześniej popycha do różnych innych grzechów.

Od laików nie wymagano formalnego ślubowania, że będą przestrzegać tych przykazań, nie czuwano też nad ich przestrzeganiem. Za nieprzestrzeganie przykazań nie groziło wykluczenie z grona wyznawców. Gmina mogła jedynie uchwalić tzw. „odwracanie garnka żebraczego”. Kara ta polegała na tym, że mnich, odwracając garnek żebraczy dnem do góry, odmawiał przyjęcia jałmużny od laika łamiącego jakieś przykazanie. Gdy natomiast grzesznik odpowiednio z gminą się pogodził, wtedy uchwalano „zwracanie garnka” i dopuszczano go do współuczestnictwa w posiłkach.

Obowiązki moralne człowieka formułowano bardzo ogólnikowo. Ujęte były w słowach: „żadnego zła nie należy

czynić, dobro zdobywać krok za krokiem, myśl swą oczyszczać nieustannie, oto nauka Przebudzonych”. W religii staroindyjskiej, z którą wchłonął buddyzm, człowiek prawdziwie pobożny nie grzeszy ani uczynkiem, ani słowem, ani nawet myślą. Dlatego rozróżniano trzy rodzaje grzechów: a) grzechy popełnione myślą: chciwość, złość, wątpienie; b) grzechy popełniane mową: kłamstwo, oszczerstwo, przeklinanie i puste gadanie; c) grzechy popełniane ciałem: zabójstwo, kradzież, nie- dozwolone stosunki płciowe.

Pierwotna moralność buddyjska akcentowała następujące cnoty podstawowe: życzliwość, współczucie, radość, spokój i równowagę ducha. W etyce buddyzmu panuje kompletny optymizm moralny. Uważa się, że o własnych siłach można postępować należycie. Buddyzm nie przewiduje pomocy żadnej łaski boskiej. Nie można też nic uczynić dla kogoś innego w sprawach oczyszczenia jak i zbawienia. Całość tych wskazań, mających pouczyć człowieka jak należy żyć, można nazwać kodeksem moralności. W tekstach świętych jest on bardzo szczegółowy i drobiazgowy. W jednym z nich wypisane są wszystkie obowiązki domowe i społeczne laików: wzajemne obowiązki rodziców i dzieci, nauczyciela i ucznia, męża i żony, pana i sługi, przyjaciół, laików i mnichów. Tekst ten kończy się zapewnieniem, że hojność, przyjazna mowa, życzliwe postępowanie i bezinteresowność wobec wszystkich istot jest dla świata tym, czym piasta dla koła. Ludziom rozsądnym dlatego się powodzi i dlatego inni ich chwają, że oni pielęgnują te wskazania.

b) Wskazania etyczne dla mnichów.

Oprócz wyżej omówionych pięciu przykazań dla laików, mnichów obowiązuje dalsze pięć przykazań, mianowicie:

PIERWSZE PRZYKAZANIE – nie wolno jeść o niedozwolonej porze.

DRUGIE PRZYKAZANIE – nie wolno brać udziału w tańcach, śpiewach, muzyce i widowiskach.

TRZECIE PRZYKAZANIE – nie wolno używać wieńców, wonności, ozdób.

CZWARTE PRZYKAZANIE – nie wolno spać w łożu szerokim i wysokim.

PIĄTE PRZYKAZANIE – nie wolno przyjmować złota i srebra.

Przestrzeżenie pierwszego, drugiego i trzeciego przykazania zapewniało zasługę religijną również laikom, gdyby zechcieli (choć nie musieli) je w swoim życiu stosować.

Nowicjuszem można było zostać od piętnastego roku życia, mnichem dopiero od dwudziestego. Jednak nie każdy laik mógł zostać mnichem. Przepisy niektórych wykluczały, mianowicie: chorych zakaźnie, ułomnych (chromych, garbatych, ślepych i głuchoniemych), przestępców, zadłużonych i podlegających władzy rodzicielskiej oraz królewskiej (nie rozporządzających własną osobą). Nie stanowiły natomiast przeszkody różnice kastowe. Budda nie akceptował podziału społeczeństwa na kasty, ale zdawał sobie sprawę, że kast zwalczyć się nie da, są bowiem uzasadnione prawem kosmicznym i usankcjonowane religijnie.

Przyjęcie nowego kandydata do gminy mnichów poprzedzały dwa stopnie święceń. Przy drugim stopniu pouczano kandydata o „czterech źródłach pomocniczych” oraz o „czterech rzeczach, których należy unikać”.

Owe „cztery źródła pomocnicze”, to zalecenia najsurowszego życia mnisiego: żywić się należy jadem uźbrany, ubierać w łachmany znalezione na śmietnikach, spać u stóp drzew, leczyć się moczem. Nie zabraniano jednak

przyjmowania dobrowolnych datków od laików i zaproszeń na posiłki do nich. Wolno też było przyjmować szaty lniane, bawełniane, wełniane, jedwabne, konopne, topione i świeże masło, olej, miód, syrop oraz mieszkać nie tylko pod drzewami ale i w klasztorze, domu, jaskini czy grocie. Z czasem wprowadzono do klasztorów ciepłą i zimną wodę oraz łaźnię. Z czasem też dozwolono używać wonności, posiadać srebro i złoto. Klasztory zaczęły się bogacić.

Natomiast owymi „czterema rzeczami, których należy unikać”, były: zakaz stosunków płciowych, zabieranie cokolwiek cudzego (nawet źdźbła trawy), zabijanie jakiegokolwiek istoty żywej (nawet robaka czy mrówki), chwalenie się osiągnięciem najwyższego stopnia doskonałości ludzkiej. Jeżeli do zakonu wstępował mężczyzna żonaty, jego małżeństwo było automatycznie rozwiązane. Z zakonu można było wystąpić w każdej chwili, czy to milcząco, czy też składając oświadczenie o tym przed świadkiem. Sama gmina również mogła usunąć mnicha, jeśli okazało się, że nie nadaje się on do takiego życia lub jeśli wykroczył przeciwko jednemu z owych kardynalnych zakazów.

Zakon nie mógł posiadać roli, sług, niewolników, koni ani bydła. Nie wolno było przyjmować tego w darze. Budda nie zalecał życia w klasztorach. Mni-si winni byli ustawicznie wędrować, by szerzyć naukę. Przepisy wymagały, by małe społeczności mnichów spotykały się w celu odbycia spowiedzi i wzajemnego pouczenia się oraz niesienia sobie pomocy w razie choroby.

c) Wskazania etyczne dla mniszek.

Mniszki obowiązywało osiem wielkich reguł, a mianowicie:

- mniszka, nawet w sto lat po swoim wyświęceniu, musiała pozdrawiać

- mnicha, choćby dopiero dziś wyświęconego, wstawać przed nim i odnosić się do niego z czcią;
- nie wolno jej było spędzać pory dżdżystej w miejscu, w którym nie było mnichów;
  - co pół miesiąca winna była prosić gminę o wyznaczenie dnia spowiedzi i udawać się do gminy po pouczenie;
  - z końcem pory dżdżystej miała się zwracać do zgromadzenia mnichów i mniszek z trzema pytaniami: czy ktoś widział coś złego, o co ją może oskarżyć; czy słyszał coś złego o niej; czy podejrzewa coś takiego;
  - o wyświęcenie mogła prosić dopiero po upływie 2 lat i przestrzeganiu w tym czasie 6 następujących zakazów: nie zbijać istot żywych, nie kraść, żyć w czystości, nie kłamać, nie pić alkoholu, jeść raz na dzień (tylko w południe);
  - bezwzględnie nie wolno jej było łżyć mnicha ani mu wymyślać;
  - mniszce wolno było zasięgać rady mnicha, ale mnichowi nie wolno było nigdy radzić się mniszki;

- jeśli wykroczyła przeciw jednej z tych reguł, musiała poddać się czternastodniowej pokucie na oczach mnichów i mniszek.

Przepisy te są efektem lokalnej, patriarchalnej tradycji, ciągnącej się od niepamiętnych czasów, a utrwalonej w księdze praw Manu. W księdze tej zamieszczono przepis, w myśl którego kobieta winna w dzieciństwie być posłuszna ojcu i podlegać jego woli, w młodości woli męża, a po jego śmierci woli i opiece synów. Innymi słowy, kobieta nigdy nie mogła być samodzielna.

Kontakty mnichów z mniszkami regulowały ściśle przepisy, np. rozmowy z mnichem winny być prowadzone w obecności dwóch świadków, nigdy sam na sam. Mniszki musiały chodzić zawsze parami, nigdy pojedynczo. Obecność drugiej mniszki miała zapobiec niewłaściwemu zachowaniu się.

Budda odrzucił wszystkie powszechnie uznane indyjskie formy społeczności. Do rodziny odnosił się obojętnie (pamiętamy, że swój pałac opuścił w dniu urodzenia się syna). Kast nie aprobował, a na



temat państwa dokładniej się nie wypowiedział. Tylko sangha, czyli zakon, gmina mnisza była jedyną formą społeczności, którą uznawał, gdyż do niej teoretycznie muszą należeć wszyscy prawdziwi buddyści. Jego nauka – po śmierci Buddy – została związana z gminą i była przez nią autoryzowana. Gmina ta miała takie znaczenie jak „Ecclesia”, czyli Kościół, w chrześcijaństwie czy „umma” w islamie. Życiem gminy kieruje „Kosz dyscypliny zakonnej” zawarty w Kanonie Palijskim. Najwyższą władzą w sandze jest „patriarcha”, któremu podlega Najwyższa Rada Sanghi. Najwyższą władzą w klasztorze jest opat, któremu podlegają mnisi.

## 6. Odmiany buddyzmu

Buddyzm, od czasów jego twórcy – Buddy, doczekał się wielu odłamów i kierunków dostosowanych do potrzeb ludzi w różnych stronach świata.

BUDDYZM PIERWOTNY, tradycyjny, sięga czasów samego Buddy. Jego cechą jest bogactwo rytuałów i wierzeń, rozbudowany kult bóstw i duchów odpowiedzialnych za różne dziedziny życia i za bogactwa naturalne ziemi. Obowiązuje w nim kalendarz księżycowy, który wyznacza wyznawcom dni świąteczne związane z Buddą, jego życiem i jego oświeceniem. Wyróżnia się w nim osiem wielkich systemów praktyk medytacyjnych i osiem ścieżek wiodących do wyzwolenia.

BUDDYZM TYBETAŃSKI, zwany też LAMAIZMEM, powstał w końcu II wieku n.e. i objął tereny Tybetu, Mongolii i Nepalu. Dzieli się na trzy szkoły: Sakyapa, Ningmapa i Kagyupa. W buddyzmie tybetańskim Lama to nauczyciel duchowy, a Dalajlama to przywódca rangą najwyższy, będący wcieleniem bóstwa Awalokiteśwara, wybierany od XVI wieku przez specjalną Komisję.

BUDDYZM DIAMENTOWEJ DROGI, pojawił się w latach 60-tych XX wieku i jest odłamem buddyzmu tybetańskiego. Jego twórcami są dwaj Duńczycy – Hannah i Ole Nydhal (nazywany też Lamą), którzy przebywając w Tybecie zapoznali się z tamtym buddyzmem i przeszczepili go w roku 1972 do Zachodniej Europy. Zdaniem naukowców, oni nigdy nie będą autentycznymi buddystami, zagubili bowiem walor duchowy buddyzmu, a zostawili z niego tylko ćwiczenia fizyczne.

## 7. Zakończenie

W Polsce działa zarejestrowanych czternaście buddyjskich związków wyznaniowych, których wspólną organizacją te związki reprezentującą jest POLSKA UNIA BUDDYSTÓW.

Zainteresowanym Czytelnikom polecam wybrane publikacje.

*Buddyzm Mahajana*, fragmenty z pism, wybór i przekład Wanda Dynowska, wyd. Biblioteka Polsko-Indyjska, Madras 1965.

Carus Paul, *Nauka Buddy*, przekład Wanda Dynowska, Bombaj 1962.

*Buddyzm*, wybór tekstów i oprac. Jacek Sieradzan, Wit Jaworski i Marian Dziwisz, Kraków 1987.

Ursula Baatz, *Buddyzm*, przeł. z niem. Joanna Marek, Warszawa, bez r. druku.

E. Słuszkiewicz, *Buddyzm pierwotny*, oraz

W. Kotański, *Buddyzm jako religia światowa*, w pr. zbior. „Religie uniwersalistyczne”, Warszawa 1982, (s. 5-40 i 41-90).

*Zarys dziejów religii*, pr. zbior., wyd. Iskry, Warszawa 1968, stron 1037.

E. Słuszkiewicz, *Budda i jego nauka*, Warszawa 1965.

H. von Glasenapp, *Religie niechrześcijańskie*, Warszawa 1966.

J.B., Ślubowanie mnicha buddyjskiego, w: „W Drodze” 1974, nr 1, s. 55-56.

*Dharma. Przeznaczenie. Dobro i zło*, przeł. Wanda Dynowska, Madras 1961. □

**KAZIMIERZ PASENKIEWICZ**

## **Polska Organizacja Wojskowa, Komenda Naczelna nr 3 na Ukrainie**

Po wybuchu wojny w 1914 r. społeczeństwo polskie na kresach wschodnich było przeświadczone, że jednym z głównych problemów przyszłej konferencji pokojowej będzie sprawa Polski. Jeśli zwycięży Ententa, to połączone ziemie etnicznie polskie utworzą jakiś organizm autonomiczny w większym lub mniejszym stopniu zależny od Rosji, odpowiednio do jej udziału w zwycięstwie.

Opinia społeczna w Galicji, upatrując głównego wroga Polski Niepodległej w Rosji, spodziewała się, że zwycięstwo państw centralnych przyniesie względną niezależność państwową Polsce uzależnionej od Niemiec i Austrii, rządzonej przez dynastię Habsburgów.

Trzeba stwierdzić, że przed samą wojną i w pierwszym roku jej trwania przenikały na Ukrainę agitacje i wpływy koncepcji galicyjskiej. Później osłabły. W latach 1915-1916 ucichły spory polityczne, ale w 1917, gdy rewolucje rosyjskie podważyły bojową wartość Rosji jako sojusznika Ententy, wybuchły z nową siłą.

W latach 1918-1919, zwłaszcza po klęsce państw centralnych, najśmielsze marzenia Polaków o Polsce Niepodległej przybrały realne kształty. Spory o jej przyszły ustrój, rolę w Europie i o granice rozgorzały z wielką siłą. Społeczeństwo polskie opanowała euforia. Ogarnęła ona przede wszystkim młodzież walczącą na frontach, ale także młode kobiety i dziewczyny pozostające w domu, a częściowo także starsze społeczeństwo.

Zapanowało przekonanie, że powstanie silnej Polski wymaga walk i ofiar, co

nie było prawdą. Każdy poczuł się odpowiedzialnym za losy Polski. Społeczeństwo ogarnęło przemożne dążenie do organizowania się i działania. Kierunki i cele tego działania nie zawsze były zgodne, często były sprzeczne, ale każda ze stron była przekonana o swojej racji.

Do już istniejących na Ukrainie stowarzyszeń polskich (Towarzystwo Dobroczynności, Towarzystwo Oświatowe, Klub Sportowy PTG i towarzyskie Ogniwo) dołączył się długi szereg nowopowstałych społecznych, politycznych i wojskowych. A więc organizacje społeczne: Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego, szereg towarzystw opieki nad uchodźcami, organizacje harcerskie, organizacje polityczne: Polski Związek Polityczny, Polski Związek Demokratyczny „Dniepr”; Centrala Demokratyczna i wiele innych.

Organizacje społeczne spełniały funkcje wielkiej wagi dla przyszłej Polski. Pomogły przetrwać wojnę milionowym rzeszom uchodźców, uczyły dzieci języka, budziły miłość i przywiązanie do sponiewieranej Ojczyzny.

Inaczej przedstawiała się działalność organizacji politycznych. Była to gra w ciemno. Przyszłość Polski zależała bowiem od zwycięskich państw, ale decyzje ich musiały być podejmowane w konkretnej rzeczywistości. Dla przyszłego państwa byłoby korzystne, gdyby naród zaprezentował się jako zwarty i świadomy własnych możliwości, gotowy do walki. Natomiast organizacje polityczne ujawniały i nasilały antagonizmy

i niezgodę. Działanie ich było szkodliwe – osłabiały i dezorganizowały naród.

Jeszcze inaczej przedstawiała się sprawa polskich organizacji wojskowych. Bliska klęska państw centralnych skłoniła legiony polskie, walczące w ich szeregach, do wycofania się. Walkę zbrojną przejęła po legionach nielegalna organizacja wojskowa obozu Piłsudskiego: POW.

Orientacja proaustriacka odpadła, zastąpiła ją orientacja antyniemiecka. Orientacja antyrosyjska przekształciła się we wrogość do tych sił, które wstąpiły na arenę działań po upadku caratu. A więc wrogość lub nieprzyjaźń do bolszewików, Ukraińców, denikinowców.

Revolucja zastała setki tysięcy młodych Polaków w szeregach rosyjskiej armii. Armie te rozpadały się na czerwone i białe – walczące ze sobą nowopowstałe formacje. Tworzyły się także oddziały narodowe na Kaukazie i w Azji.

Polityka gospodarcza rządu bolszewickiego, dążącego do wywłaszczenia posiadaczy nieruchomości, godziła na Ukrainie, gdzie nieruchomości w dużej części należały do Polaków, w podstawy polskości. Żołnierz Polak, zwłaszcza oficer, zarówno pochodzący z Królestwa jak i miejscowy, nie miał dokąd wracać, nie miał też żadnych motywów do walki z bolszewikami. Dla własnego bezpieczeństwa musiał się skupiać – na tej zasadzie tworzyły się we wcześniejszym okresie luźne związki wojskowych, a później korpusy i dywizje.

W okresie rewolucji lutowej powstały 3 korpusy polskie. Pierwszy w Bobrujsku na Białorusi, drugi i trzeci na Ukrainie. W 1918 r. Niemcy po wkroczeniu na te tereny zlikwidowali je. Rozproszeni żołnierze utworzyli na peryferiach Rosji kilka dywizji (nad Wołgą, na Kubaniu, w Murmańsku). Dywizje te różnymi

drogami usiłowały dotrzeć do kraju. Jedną idącą do Polski na Zachód, inną idącą na Wschód, dokoła globu ziemskiego. Udało się dojść do kraju w formacji bojowej tylko IV Odesskiej Dywizji.

Polska Organizacja Wojskowa przez cały czas swego istnienia usiłowała wciągać te jednostki do walki z bolszewikami i z Niemcami. Udawało się to dzięki podnieceniu i egzaltacji społeczeństwa polskiego na Ukrainie. Były to krwawe walki i śmierć w nich była okrutna: rozstrzelania, tortury i mordy, śmierć w gorączce tyfusowej na pryczach więziennych. Ujawniły one także bohaterstwo i odwagę kobiet – polskich bojowniczek w szeregach POW.

\* \* \*

Polska Organizacja Wojskowa była związkiem, tworzonym przez Piłsudskiego od 1914 r. [przyjmuje się też za rok powstania 1916 – red.]. Celem jej była walka o Polskę Niepodległą w oparciu o Austrię. Przez walkę rozumiano zarówno starcia orężne, jak wywiad i dywersję. Przyjmowano, że główną przeszkodą na drodze do niepodległości jest Rosja i przeciw niej kierowano początkowe działania. Po rozbrojeniu Pierwszej Brygady działalność POW uległa nasileniu. Komendantem głównym był J. Piłsudski; po jego aresztowaniu Bogusław Miedziński, Michał Żymierski, Tadeusz Kasprzycki.

POW rozrastała się stopniowo. Już w 1914 r. pojawili się na Ukrainie jej organizatorzy. Pamiętam, że przy końcu 1914 i w 1915 ćwiczyliśmy w pierwszym zastępie pierwszej drużyny harcerskiej musztrę wojskową z kawaleryjskimi austriackimi karabinkami. Instrukctorem był druh Rogoziński, student Uniwersytetu.

W latach 1914-1920 powstawały komendy naczelne w Warszawie (KN 1),

w Krakowie (KN 2); na Ukrainie (w 1917 r.) KN 3; w Lublinie – KN 4. Później na ziemiach zaboru pruskiego: w Poznaniu (luty 1918) i na Śląsku (luty 1920).

POW była organizacją wojskową, w teorii apolityczną. Hasłem jej była walka o niepodległość Polski. Zabarwieniem politycznym był właśnie wybór drogi, która miała do niepodległości prowadzić. Głównym wrogiem (jak było powiedziane) była Rosja i te jej siły, które po upadku caratu ukształtowały się na jej terenach.

W latach 1916 i 1917 działalność POW na terenie Ukrainy ustała. Warunki dla jej wznowienia stworzyła rewolucja rosyjska. W 1917 roku powstała KN 3. Pierwszymi jej bojownikami byli starsi harcerze i studenci kijowscy. Do szeregów jej zgłosiły się licznie młode kobiety i dziewczęta. Pierwszym komendantem KN 3 był Miedziński; [następnie] Bromirski, a po nim Liskula, Bieniewski, Wilk, Przemysław – o tych słyszałem od siostry. Ostatnim komendantem, któremu Przemysław przekazał dowództwo, był Kmicic. Opuścił [on] Kijów przed aresztami.

KN 3 dzieliła się na Komendy Okręgowe, na czele których stali komendanci. Komendy te mieściły się w większych miastach Ukrainy: w Żytomierzu, Humaniu, Berdyczowie, Winnicy, Odessie; mniejsze komendy w Równem, Brodach.

W tym czasie byłem na froncie, z rodziną i miastem nie miałem kontaktu. Natomiast siostra moja, Janina, oraz bardzo wielu kolegów i znajomych wstąpiło do POW. Brat nie należał do organizacji, ale często w różnych sprawach kontaktował się z nimi. Do jego przyjaciół należeli: Jerzy Bolewski – piłkarz, Józewski (późniejszy delegat Rządu polskiego na Ukrainę), Dziunia Goszczycka, Anna Jaworska, Halina Dybczyńska, Łazowscy, Zadróżni, Iżykowska, Radziejewski.

Do kijowskiego okręgu należało paręset członków i współdziałających z nimi sympatyków. Rodziny bojowników POW były powiadamiane o działaniach organizacji i były gotowe do współpracy. Bojowniczkami POW KN 3 były w dużej części kobiety i one wykazywały niezwykłą odwagę oraz odporność psychiczną.

Liczby zabitych w partyzantce, rozstrzelanych i zamordowanych żołnierzy POW nie da się ustalić. Celowość tych ofiar budzi wątpliwości, ale bohaterstwo i odwaga były bezprzykładne. Parę osób, i to mężczyzn, załamało się w więzieniach w czasie „przesłuchań”, ale to wystarczyło do dekonspiracji i likwidacji POW KN 3. Stało się to w marcu-kwietniu 1920 r.

Oddając należne odwadze i bohaterstwu młodych bojowniczek i bojowników POW, należy zastanowić się nad celowością tych walk i nad ich skutkami. Powstania rodziły te same problemy i takie samo ich rozwiązanie. Problemy decyzji i celowości stawiane są w próżni; powstania i walka były koniecznością dziejową. A ich skutki? Dla rozwoju biologicznego i ekonomicznego – katastrofalne. Inna sprawa to tradycje i osobowość narodu; jego pozycja i rola wśród narodów świata.

Ofiarom beznadziejnych powstań, ofiarom POW, ofiarom zrywów rewolucji zawdzięcza naród swe państwo obecne i swą przyszłość.

\* \* \*

Początkiem rozgromu KN 3 w Kijowie było aresztowanie w końcu stycznia 1920 r. bojownika POW Wacława Porzezińskiego. Areszt był spowodowany donosem jego nieletniego brata. Aresztowany następnie De Morge wskazał niektóre znane mu zakonspirowane lokale. Skutkiem tego były masowe areszty w dniach 7 marca i następnych.

W dniu 8 marca przyjechał z prowincji mój brat Wojciech. Na ulicy w drodze z dworca przypadkowo spotkał siostrę Janinę w towarzystwie innej peowiaczki – o ile sobie przypominam Heleny Sikorowskiej. Obie były przerażone. Błakały się po mieście nie mając odwagi udać się do mieszkań. Brat miał przy sobie blankiety z pieczęciami spółdzielni Kostorp *in blanco*, do użycia w takich sytuacjach. Sprawa była poważna. Brat prowadził obie dziewczyny na dworzec. Trzeba było opuścić miasto bez zwłoki. POW KN 3 była dla bolszewików jedyną groźną zakonspirowaną organizacją.

Po drodze Sikorowska przypomniała sobie, że w jednym z lokali organizacji są pieczęcie i papiery. Głucha na wszystkie argumenty, nie reagując na pogróżki brata, że użyje przemocy, odeszła. Na szczęście mojej rodziny, wystawione zaświadczenie na blankiecie spółdzielni pozostało u brata. Sikorowska miała przyjść na dworzec. Do wieczora nie pojawiła się. W końcu 1920 r. stało się wiadome, że została wywieziona razem z komendą placu statkiem i w czerwcu tego roku z całą grupą rozstrzelana. Na czele tej grupy stał Jerzy Bolewski (starszy z dwu braci). Jako piłkarz grał nie u nas w PTG (Polskie Towarzystwo Gimnastyczne), ale w rosyjskiej drużynie Politechnikow, co nas oburzało. Razem z nim rozstrzelano w Charkowie w czerwcu dwadzieścia parę osób. Z komendy placu prócz mojej siostry uratowała się jedynie Ptaszkowska. Podobnie zlikwidowano komendy okręgowe w Winnicy, Żytomierzu, Humaniu i inne.

W międzyczasie brat wywabił przy pomocy dozorczy matkę z mieszkania i przyprowadził ją na dworzec kijowski. Późnym wieczorem pociąg składający się, jak zwykle, z wagonów towarowych przepełnionych podróżnymi – wyruszył. W ostatnich minutach do kilku wagonów

wcisnęli się funkcjonariusze Cze-ka. Między innymi do wagonu, gdzie w tłoku stali matka, siostra i brat. Przybyli – przy zapalonych świecach – rozpoczęli sprawdzanie dokumentów stłoczonych pasażerów. Wojtek dołączył się do nich na ochotnika. Przy sprawdzaniu okazało się, że dokument Janki został podpisany przez pieczęć, co wzbudziło wątpliwości sprawdzających. Wbrew argumentom Wojtka, Janka została zatrzymana do czasu sprawdzenia w fastowskiej Cze-ka. Jasne było, że Janka zostanie rozpoznana, gdyż akcja likwidacji KN 3 ogarniała całą Ukrainę. A więc w perspektywie pewny rozstrzał.

Przed Fastowem pociąg stanął przed semaforem. Czekaści zeskoczyli z wagonu, aby dowiedzieć się, jak długo potrwa postój. I teraz nadeszła ta jedyna szansa ratunku. Wojtek zgasił obie świece i przy pomocy współpodróżnych zaczął przeciskać się do przeciwległych drzwi towarowego wagonu. Drzwi zamknięte na zamek to śmierć Janki, a może i Mamy. Nie były jednak zamknięte, tylko zasunięte. Wojtek je rozsunął cicho i przez szparę wypchnął Mamę, która wypadła jak tłumok, ale stanęła na nogi. Po Matce wyskoczyła Janka, w końcu Wojtek. Ktoś w wagonie zasunął drzwi.

Z tej strony torów było ciemno. Trzeba było kilkanaście metrów przepełniających pod wagonami, a potem pod drugim pociągiem zejść z szyn i dostać się na drogę prowadzącą do miasta Fastowa. Zaraz potem pociąg ruszył i zatrzymał się na stacji. Jak widać ci czekaści nie byli dobrze przeszkoleni; popełnili dużo błędów. Dzięki nim uratowała się siostra i prawdopodobnie kilka innych osób.

W Fastowie przenocowali u Zosi Szornel, siostry Wandy Pasyńkiewicz. Noc minęła spokojnie. Matka była bardzo potłuczona, ale w dobrej formie. Miała wtedy 56 lat.

Na drugi dzień przybyli wszyscy szczęśliwie końmi do Kożanki, do wujaszka Witolda Niewiarowicza, lekarza w Cukrowni Kozanieckiej, gdzie gościłem. Matka i Wojtek zostali tam, a ja i Janka ruszyliśmy pieszo do Chodorkowa. Ku memu zdumieniu Janka przemarszerowała 50 km w ciągu 10 godzin. Mnie taki marsz nie sprawiał żadnej trudności.

W parę tygodni później Wojtek ponownie przybył do Kijowa i – jakby mu rozum odebrało – udał się do naszego mieszkania, gdzie przebywała tylko nasza służąca – przyjaciółka – Sania. Czekali tam na niego, został aresztowany, pomimo zapewnień o swej niewinności i sympatii do władzy radzieckiej. Brat mój był nie tylko sentymentalnym poetą, lecz także mistrzem słowa. Wzbudził jednak pewne wątpliwości w Cze-ka i umieścili go – ku wielkiemu oburzeniu uwięzionych – w celi kobiecej; razem z Sanią, ażeby namawiał ją do ujawnienia, gdzie Janka (jak ją nazywali czekiści) się ukrywa.

Później wozili brata po wskazanych przez niego rosyjskich adresach, gdzie dopytywał się o Jankę. Podawał adresy osób, które znając Jankę z imienia niczego więcej o niej nie mogły wiedzieć. Wojtek natomiast był w śmiertelnym strachu, czy Sonia lub kto inny nie poda rzeczywistego miejsca pobytu Janki w Chodorkowie. Taki strach to prawdziwa zhora. Nie doceniał inteligencji u pozostałych. Janka, zaraz po aresztowaniu Wojtka, została ulokowana w Gnildcu u chłopów, sąsiadów. Odszukanie jej tam było niemożliwe.

Ale czekiści nabrali przekonania, że Wojtek gra komedię. I byłoby z nim źle

gdyby nie to, że jeden ze śledczych był jego kolegą, i gdyby nie przyjazd Dzierżyńskiego. Przybył on w sprawie POW do Kijowa. Poleciał zwolnić tych wszystkich Polaków, przeciw którym nie było niewątpliwych dowodów. Na tej liście Machnicki (kolega brata) ryzykując umieścił Wojtka. Razem z Wojtkiem zwolniono Sanię; wcześniej zaś prawie wszystkich aresztowanych rodziców. A więc doktora Bolewskiego, matkę Dziuni – Teresę Goszczycką, Aleksandrę Iżykiewicz i innych. Wojtek wrócił, jak się teraz mówi, z dalekiej podróży. Wymizerowany, ogolony, ale rad z powrotu do życia.

Już po przedostaniu się Janki i moim do kraju aresztowano w Chodorkowie, w aptece ciotki Boguckiej, moją matkę. Trzymano ją kilka tygodni w Cze-ka w Skwirze (powiatowe miasto na kijowszczyźnie). Nazywano ją „babuszką” i kazano jej myć podłogi. Traktowano ją zresztą dobrodusznie. W pewnej chwili zobaczyła ją przy tym zajęciu Paszka, jedna z naszych służących, która mając 17 lat zaszła u Matki w ciążę i ku swemu zdumieniu znalazła troskliwą opiekę dla swego dziecka i siebie. Była wówczas jakimś ważnym komisarzem, wyrugowała czekistów za głupotę i zwolniła Matkę.

Ze swoją przyjaciółką, matką rozstrzelanej Dziuni, Teresą Goszczycką, moja Matka spotykała się w Warszawie w latach dwudziestych bardzo często. Mieszkały blisko siebie: jedna na Nowogrodzkiej, druga na Żurawiej. Teresa Goszczycka aż do śmierci wierzyła, że jej córka się uratowała; i żyła nadzieją, że ją niedługo ujrzy. □



ANDRZEJ PIERZCHAŁA

## Duch dobry, duch zły

Duch – pojęcie otoczone niezmiernie mistyczną i tworzoną przez wieki mitologią. Mało który rzeczownik może poszczycić się takim zróżnicowaniem znaczeń zabarwionych pełną paletą barw, od jasnych do najciemniejszych i taką skalą gradacji doniosłości.

Od Ducha Świętego poczynając przez ducha opiekuńczego, sprawczego, proroczego, nadziei, pokory, ducha epoki do pomniejszych „duchów”: przekory, braterstwa, czy współzawodnictwa aż do ducha nieczystego, zła, ciemności, zniszczenia, na zjawie upiornej kończąc.

W filozofii „duch” to podstawowy pierwiastek, początek wszechrzeczy podporządkowujący sobie materię. Filozofia przyznaje, że pojęcie „ducha” jest szersze niż zakres znaczeniowy terminu „świadomość”. Duchowi przeciwstawiana jest materia, jednak według doktryny zapoczątkowanej przez Gottfrieda Leibniza, materia jest w istocie nie-dająca się przedstawić, posiadającą naturę duchową formą energii.

Nawiasem mówiąc, doktryna ta dziś zaczyna częściowo zajmować swoje realne potwierdzenie wobec aktualnych ustaleń nauki dotyczących falowej natury materii.

Rozważając rzeczywistą obecność „ducha” w naszym życiu musimy oprzeć się na racjonalności, z której nie umiemy zrezygnować i logice ukształtowanej z wypadkowych dostępnych nam prawd o Świecie nas otaczającym. Prawd, które już poznaliśmy i zinterpretowaliśmy na swój sposób jak i tych, których jeszcze

nie znamy, choć już wiemy, że istnieją. Trzeba przy tym pamiętać, że ściśle ukierunkowany, a więc i ograniczony zasięg naszej racjonalności i logiki został w nas uformowany przez ewolucję kierującą się wyłącznie prostym przystosowaniem powstających suwerennych organizmów do otaczających warunków w celu ich przetrwania.

Istnienie „spiritus movens” najwyraźniej potwierdza enigmatyczna w swych formach, ale realna historycznie walka dobra ze złem. Unaocznia się ona w historii powszechnej i historii filozofii i pokazuje, że owe trudne zmagania nie są ani bezsensowne, ani zatracące oraz zbliża do przekonania, że obojętne z jakimi mamy tu do czynienia siłami – *to są to tylko, nieznanne nam jeszcze, niepojmowalne przez naszą wyobraźnię fizyczne właściwości przestrzeni Świata, w której jesteśmy zatopieni*. W odruchu obrony przed tymi siłami, przed owym demiurgiem zrodziła się religia.

Skąd wzięła się, powstała wraz z człowiekiem świadomym, niejako automatyczna konieczność przeciwstawienia się zawodniczemu złu, które przecież podobno jest w nas, jest biologiczną częścią naszej natury i obiektywnie nie istnieje poza nami? Czy rzeczywiście? Czy rzeczywiście zło leży w naszej naturze? Rodzimy się tacy, czy też jesteśmy tak kształceni?

Dlaczego wiemy wszyscy w sposób naturalny, jednorodny, wrodzony co brzydkie, a co piękne, co jest porządkiem, a co bałaganem, co melodią, a co

dysonansem, co stosowne, a co nie pasuje? Wiemy to wszyscy w mniejszym lub większym stopniu i jeżeli postępujemy inaczej, to nie z braku wrodzonego poczucia, ale z zupełnie innych przyczyn. Dowodem cywilizacja i materialna kultura, jaką się otaczaliśmy.

Francuski biolog, Laureat Nagrody Nobla Alexis Carrel wysunął wręcz tezę, że obok zmysłów fizycznych człowiek posiada jeszcze zmysły o wiele subtelniejsze, takie jak między innymi zmysł piękna, czy zmysł wiary.

Jestem pewien, że mamy w sobie, i ci podatni na wpływy, i ci na nie odporni, kojące poczucie harmonii dźwięków, brył, kształtów, czy słów oraz poczucie tego, co jest dobrem, a co złem. Stąd nieodmiennie szarpiemy się w swoim wnętrzu przeciw perfidnym, okresowym manipulacjom mającym nas skłócać, mieszać nasze wysiłki, drogi i myśli. Wywoływać w nas nienawiść i złe emocje pozbawiające jasności oceny i obiektywizmu, pozbawiające wypracowanych ustaleń naszej kultury. Jednym słowem, cofających nas w rozwoju i poczuciu człowieczeństwa.

Oczywiście, jest prawdą, że są różne rodzaje ludzi o różnej mentalności i stopniu podatności na wpływy zewnętrzne.

Jednak w tej sferze wrodzonych odczuć nie ma żadnej dychotomii. O tym co dobre, a co złe, co uczciwe, a co oszukańcze, wiedzą i żyjący z kłamstwa i mówiący prawdę, cwaniacy i ludzie mający godność i ci, co widzą w drugim człowieka i ci, którzy widzą w drugim narzędzie do wykorzystania.

Wypada więc raczej zgodzić się, że coś jednak ma na nas wpływ. To „coś” nazywamy często „duchem czasów” tworzącym trudny do precyzyjnego uchwycenia klimat dla takich lub innych zachowań i poglądów, czasem przybierający

rozmiary wyraźnie siłowego, sprzecznego z racjonalnością ogłupienia.

Pozostajmy obiektywni. Czy ten, tzw. „duch czasów” niesie zawsze negatywne przesłanie?

Trudno to rozstrzygnąć jednoznacznie. Załóżmy, że to „duch” kierujący się swoimi interesami i potrzebami, których rodzaju nie znamy. Raz więc rozumiany jest przez nas jako dobry, innym razem jako zły. Według naszych subiektywnych odczuć – dobry, jeżeli sprzyja utrzymaniu jakiegoś pozytywnego dla nas status quo, zły, gdy jest odwrotnie. By dalej trwać w obiektywizmie, trzeba przyznać, że zło w naszym życiu bardziej wyraziście odczuwamy. Przecież są również okresy, w których to, czego indywidualnie, czy zbiorowo, mimo wysiłku nie mogliśmy osiągnąć – nieoczekiwanie przychodzi samo. Owe dobre lata, choćby zauważalnie wspomagane przez przypadki, aurę, niewytłumaczalne zbiegi okoliczności, zwykliśmy uważać za efekt wyłącznie naszych własnych starań, za normalny stan rzeczy.

Mimo tych rozumowych zastrzeżeń dotyczących naszego subiektywizmu, w sumie uważamy, że częściej jesteśmy przez owe nieznane siły nękani, ograniczani, wytrącani z drogi rozwoju, że wielokroć mamy do czynienia z czymś, w ostatecznym efekcie złym, zwodniczym, prostackim – choćby przez stosowane metody – a ograniczenie tego wpływu pozwoliłoby nam na mądre życie i rozwój. Poczucie takie dominuje w nas od wieków, wystarczy przywołać oszukującego nas wiecznie i zwodzącego ducha, którego próbował wyodrębnić Kartezjusz.

Jednak trzeba być ostrożnym w swych zapędach definitywnego pozbycia się zła. Należy odróżniać zło od tego, co niosą naturalne przeciwności losu. Odróżniać

perfidii i przekraczanie granic od utrzymujących nas w aktywności logicznie uzasadnionych trudności. Warto pamiętać, jakby to beznadziejnie nie zabrzmiało, że to właśnie przeciwności wyzwalały w nas najwięcej energii. To one stworzyły „homo faber”.

Dopóki nie poznamy, do czego jesteśmy Naturze potrzebni, dopóki nie zrozumiemy, nie usystematyzujemy rodzaju tych wpływów, trudno nam będzie w pełni obiektywnie odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście radzilibyśmy sobie o wiele lepiej bez owego pierwiastka ograniczającego nas, owego pierwiastka zła.

Tak, czy owak, na pewno ze wszechmiar warto dowiedzieć się z czysto utilitarnych powodów, co dzieje się rzeczywiście na tym Świecie, jak wyglądają konstrukcje sił, które nami powodują, jak się przemieszczają i w zależności od czego się zmieniają. Warto poznać cały mechanizm oddziaływania, a w wielu przypadkach mechanizm wręcz fizycznej manipulacji, jakiej podlegamy. To, że te zjawiska pojmujemy jako duchowe nie znaczy, że nie mają one swojego realnego, dającego się uchwycić, chemiczno – energetycznego rodowodu wywodzącego się z obszarów jeszcze naszej wiedzy niedostępnych. Warto wreszcie przy okazji poznać nasz własny program biologiczny, którego przecież sami nie stworzyliśmy, zrozumieć organizację i stopień autonomiczności naszego myślenia. Spojrzeć z zewnątrz na wąski, zamknięty krąg naszego pojmowania. Poznać części składowe naszego gestaltyzmu i wyodrębnić ewentualne jego obce, pasyżnicze formy. Doprowadzić do tego, że owe nie poznane energie, ów zwodniczo życzliwy lub złowieszczy duch da się poznać i zamknąć w fizyczno – chemicznym równaniu, którym to my będziemy

mogli manipulować w zależności od mądrze diagnozowanych potrzeb.

Niezależnie od tego, czego się dowiemy, o jakie możliwości wzbogacimy – jedno jest już dziś pewne. Świat, w którym żyjemy. Natura – tak jakże często zachwycająca nas natura, której część stanowimy – jest całkowicie obojętna i pozbawiona wszelkich względów. Nie różnicuje bytów, które płodzi i zabija, nie ma sentymentu ani szacunku dla tego, co stworzyła.

Czy jednak czyni to z bezmyślną przypadkowością, czy też kieruje się niepojętymi dla nas własnymi potrzebami?

By mieć nadzieję na poznanie odpowiedzi na to pytanie, trzeba poznać dokładnie nasze miejsce i rolę w rzeczywistości nas otaczającej, łącząc w spójny obraz niezliczoną ilość powtarzających się od najodleglejszych czasów drobnych faktów, luk i sytuacji, jakie budowały wydarzenia, z którymi musieliśmy się zmagać lub na nie godzić. Jest to już powoli w zasięgu naszych możliwości. Musimy również dowiedzieć się, czy oprócz naturalnych sprzeczności, jakie nas dotyczą, nie mamy do czynienia z czymś dodatkowym, co również, będąc pod presją Natury, chce własne uciążliwości zmniejszać naszym kosztem.

Czy uda nam się połączyć sferę duchową ze sferą fizyczno – materialną naszego życia na gruncie czysto racjonalnej technicznej wiedzy? Wierzę, że tak, choć rzecz na pewno jest trudna ze względu na nasze nawyki i matryce myślenia. Każdy, kto się nad tym zastanowi, staje przed pierwszym problemem: jak ujarzmić i zaprząć do organizacji przestrzeni, w której żyjemy coś, czego przyczyną z pozoru jesteśmy my sami?

Wybiegnijmy w przeszłość, załóżmy na chwilę, że oto nadszedł czas, w którym pozory zostały zdemaskowane,

w którym jesteśmy już mentalnie przygotowani, a nasza wiedza pozwala nam stanąć oko w oko z ową Naturą, nie po to, by z nią walczyć, ale by ją poskromić w jej zapędach. Będzie to czas, w którym zaczniemy rozbijać skorupę, w jakiej tkwimy, podobnie jak czyni to pisklę, zaczynając samodzielne życie.

Nasze wyobrażenia owych demonicznych mocy, czy tajemniczych energii, które mają na nas wpływ przedstawiane są często w literaturze, czy filmach S.F. Ich popularność oddaje stopień powszechności tego rodzaju odczuć wśród nas. Przedstawiane w nich mechanizmy oddziaływań, niejednokrotnie zaskakujące, ciekawe, czasem przerażające w zależności od przyjętej konwencji fabuły takiego utworu, nie biorą jednak pod uwagę innej struktury rzeczywistości wokół nas, a przecież nie poznaliśmy jeszcze do końca fizyczności przestrzeni, w której jesteśmy zamknięci. Podobnie nie poznaliśmy całkowicie fizyczności nas samych, w związku z czym nie znamy wszystkich swoich słabych stron. Wiemy już na przykład z całą pewnością, że nie znamy wszystkich wymiarów obszaru, w którym się znajdujemy. Nie wiedząc tego, sprowadzamy wszystko na nasz grunt. Wymyślając hipotetyczne mechanizmy takich oddziaływań przedstawiamy je – co jest zupełnie naturalne – w jedyny możliwy dla nas widoczny sposób posługując się schematami z naszej codzienności.

Przedziwny jest umysł ludzki – zawsze stara się powrócić do utrwalonego pojmowania rzeczy, nawet w obliczu

stwierdzonych faktów. Trzeba wysiłku, by nie odsuwać na bok napotkanych rzeczy niezrozumiałych, szczególnie tych zjawisk, których nie umiemy powtórzyć na zawołanie.

Tymczasem wszystko ma swoją realną przyczynę, która – gdy ją poznamy i oswoimy się z nią – staje się prozaiczna. Wskazuje na to doświadczenie i logika tego Świata. Dzieje się tak wprawdzie bez końca, ale to już zupełnie inna sprawa.



Zmiana kąta podejścia do spraw uznawanych dziś przez nasz racjonalizm za beznadziejne może przynieść zupełnie nieoczekiwane efekty. Doświadczenie uczy nas, że nasza codzienna rzeczywistość kryje w sobie rzeczy o wiele ciekawsze niż najwspanialsze fantazje.

Z pojęciem „ducha” nierozzerwalnie związany jest fenomen wiary. Każdy w coś wierzy, to biologiczna konieczność.

Najbardziej dobitnym przykładem istnienia w nas potrzeby odkrywania nowych przestrzeni pojmowania jest pierwiastek wiary. Bez wiary rozwój byłby niemożliwy. To właśnie najszerszej pojęta wiara tworzy historię naszego ludzkiego rodu. Nie ma na świecie człowieka, w którym nie byłoby potrzeby wiary zrodzonej z rozdźwięku między naszym sposobem pojmowania i postrzegania rzeczywistości, a zauważanymi anomaliami w tym oglądzie. Owe nieuchwytnie dostrzeżenia i odczucia, których nie rozumiemy, towarzyszą nam od momentu powstania naszej świadomości.

Wiara to dostępna każdemu z nas droga do nieskończoności. Jest obiektywnie

potrzebna, chroni przed do niczego nie prowadzącym nihilizmem i abnegacją. Do wyzbycia się pierwiastka wiary nie da się namówić. To tak, jakby namawiać do wyzbycia się wyobrażeń, nadziei, czy marzeń o idealnym świecie, czy możliwości powrotu do równowagi po kraksach z nieprzyjaznym światem i własną niedoskonałością.

W tym wszystkim wiara w siły dobra i zła jest uprawniona ze wszech miar.

Zupełnie inną sprawą jest wykorzystywanie tej potrzeby człowieka, ale ten element społecznego współlistnienia jest obecny we wszystkich dziedzinach naszego bytowania. Wszystkie nasze potrzeby są natychmiast wykorzystywane na tysiące sposobów, zresztą w wielu przypadkach z korzyścią dla nas.

Nie o tym tu jednak mowa, nie należy mylić ateizmu z antyklerykalizmem.

Czysty ateizm w znaczeniu negacji wszelkich sił niepojętych, tak zwanych „nadprzyrodzonych” nie ma racjonalnych podstaw, to odcięcie się od niezgłębionego źródła poznania owych sił (które w ten sposób przestałyby być nadprzyrodzonymi) na rzecz wyłącznie tego, co dane nam jest rozumieć z czysto podstawowych powodów przetrwania w formie – na wprost. Ateizm z samej zasady wyklucza również wszelkie pierwiastki irracjonalne z naszego życia, takie jak: znaczenie wyobraźni, poetyczności w odkrywaniu tajemnic Świata, pociąg do niezwykłości, fantastyki, idealizmu, duchowości i wszelkich innych podobnych postaw, określanych przez nas jako romantyczne.

Sam racjonalizm uważa, że tzw. prawdy wiary należą do intuicyjnej wiedzy człowieka i można z nich czerpać doskonale zrozumiałą, konkretną i praktycznie skuteczną wiedzę o świecie i nas samych.

Najczęściej w płaszcz ateizmu ubierają się ci, którzy sprzeciwiają się formalizowaniu wiary i jej wykorzystywaniu w różnych celach, co jednak dla większości ludzi jest rzeczą potrzebną i dobrą, jeżeli nie prowadzi ich w złym kierunku. Jest naturalnym wspólnym wyrazem potrzeb, a także wyrazem tradycji i tożsamości, jedności z obyczajem przodków.

Oczywiście nieracjonalny ateizm, jak wszystko co istnieje, ma swoje racje bytu. Jest elementem przeciwwagi, nie pozwala na skrajności z obu stron. Bowiem jak wszystko, tak i wiara, co potwierdzają przykłady z przeszłości, może być podstępnie wykorzystywana przez siły zła, owego demiurga. Rzecz to oczywiście od wieków zauważana przez człowieka, czego dowodem są liczne gnomy, choćby o diable, co na mszę ogonem dzwonił i podobne frazy. Jak widać, w tak delikatnej materii, by coś właściwie ocenić, obowiązuje umiar, obiektywizm i rozsądek – przymioty niezwykle ważne, bo to właśnie tych cech chcą nas pozbawiać w pierwszym rzędzie szalejące wiatry wpływów.

Niezależnie od tego, na jak wysokim etapie rozwoju będziemy w przyszłości, pierwiastek wiary pozostanie zawsze dla nas niezbędnym elementem naszej drogi.

Na koniec kilka prostych zdań sumujących. Zbyt prostych.

Kto jednak lubi spontaniczność w werbalizowaniu myśli i potrafi je rozświetlić własną sublimacją, to proszę: otóż zło, owego gnostycznego demiurga, kreatora, koordynatora popędów, postaw i zachowań można już wyodrębnić, ogarnąć, umiejscowić i zdemaskować. Zło nie jest mądre, jest tylko sprytnie, stąd tak duży nacisk na oglupianie człowieka, będącego jakże niedoskonałym produktem natury i narzucanie wygodnej zasady,

a raczej wzorca myślenia: nie szukaj, a już broń Boże nie demaskuj przyczyn, tylko zmagaj się ze skutkami.

To mniej więcej to samo, co doprowadzenie człowieka do stanu, w którym będzie on nieprzerwanie wycierał podłogę zamiast zakręcić kran.

Łatwość, z jaką można eliminować nasze białkowe organizmy sprawiła, że czynione sobie wzajemnie doświadczenia w tym względzie wypaczyły przez wieki nasz obszar pojmowania dobra. Usankcjonowanie w przypadku wojen masowego wzajemnego zabijania wydaje się nam rzeczą o wiele oczywistszą niż trudniejsze, wymagające o wiele więcej wysiłku, szukanie innych rozwiązań występujących sprzeczności.

Dzieje się to przy życzliwym kibicowaniu i wsparciu ewolucji, od milionów lat rozbijającej się na prawo i lewo ze swoją zasadą walki wszystkiego ze

wszystkim bez żadnych nowych efektów jakościowych. Ewolucji ciągle mieszającej w tym białkowym tyglu już bez żadnej nadziei na jakiś przełomowy wynalazek. Niestety widać, że na postęp w tej materii musimy liczyć jedynie na siebie.

Natomiast po przeciwnej stronie zagadnienia – chyba musimy pogodzić się z tym, że dobry Bóg jest i pozostanie dla nas wieczną tajemnicą.

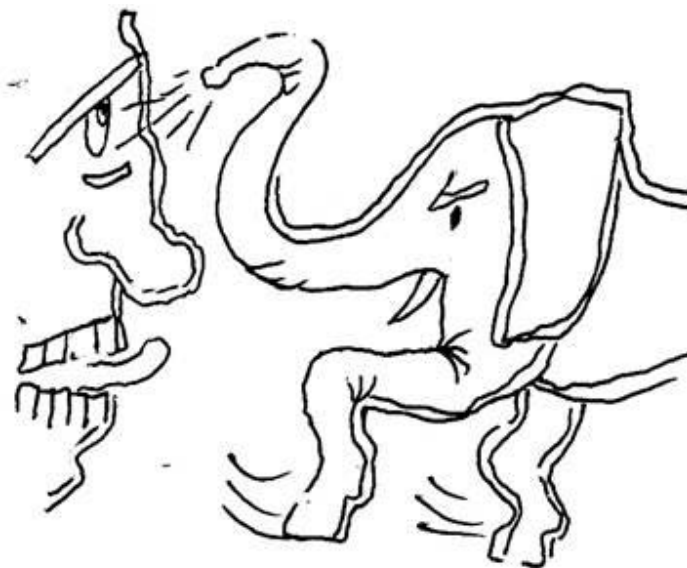
Na pewno jednak nie przeszkadza mu sposób, w jaki pojmują Go ludzie. Nie obraża się, że wykorzystujemy Jego autorytet w różnych swoich sprawach na różne sposoby.

Uśmiecha się widząc, jak ciągle nieporadnie rozumiemy Świat. Wybacz nasza biadolonia, zwątpienia, pogroźki, niecierpliwość, łatwość, z jaką bez końca dajemy się wzajemnie podpuszczać przeciw sobie.

Wie, że dorastamy i dorośniemy. □

\* Artykuł oparty na książce Autora pt. „Terroryzm – analizy i fakty”, Kraków 2002

## STEFAN BERDAK rysuje:



## Dana moja, dana – szkoła ukochana!

Początek roku szkolnego to czas szczególnie, zwłaszcza w epoce „dobrej zmiany”.

Dlaczego dobrej? Zmiany na co? A, żebym ja to wiedział!

Aby łagodniej wejść w kolejne miesiące usilnego kształcenia postaw młodych pokoleń, dobrze jest zacząć od bardzo starej bajki, ułożonej na modłę oświeceniowych bajek dydaktycznych.

A więc: była w lesie szkoła (jak to w bajkach bywa). Uczyły się w niej po prostu latorośle mieszkańców leśnych ostępów. Dyrektorem owej placówki była stara, mądra Sowa. A, że była stara i mądra, okrzyknęła ją mianem rupiecia, który niczego z nowych czasów nie rozumie. Ba! Padały również uwagi o „złogach” poprzednich epok, o uwłaszczonej nomenklaturze, itp. Sowę usunięto. Humanitarnie. Kazano jej przejść na emeryturę. Szybko. I już.

W ramach „dobrej zmiany” stanowisko dyrektora szkoły powierzono małpie. Małpa – jak to małpa. Tysiącami nowych pomysłów na minutę zamknęła gęby swym oponentom i zachwyciła władze lasu. Rzekła odkrywczo: Dostyc banalnej i ogłupiającej specjalizacji! W naszej, dobrej, nareszcie wolnej szkole WSZYSCY BĘDĄ SIĘ UCZYĆ WSZYSTKIEGO! Zadziwianie niedowiarków i reszty nieprzychylnego świata rozpoczęto natychmiast. Praca aż paliła się w łapach i pazurach. Zachwyty panował i entuzjazm nieopisany.

A efekty? No, cóż... Tak ogólnie było wspaniale, ale:

Miś, który musiał nauczyć się fruwać, podczas kolejnej próby rozbił sobie mordę, stracił zęby i lewe oko.

Młode ryby nijak nie potrafiły opanować sztuki łażenia po drzewach. (Głupie jakieś, czy co? ).

Sarenka z płaczem odmawiała zjedzenia upolowanego (teoretycznie) przez siebie zająca.

Gdy młodym ptaszkom nakazano posługiwać się głosami wilka, żubra i innych grubych drapieżników – wybuchła panika. Najgorzej było ze słowikiem, gdy ćwiczył ryk żubra. Biedak, z tego wszystkiego zaczął się jękać...

Jedynie mrówkom dano spokój. Któż bowiem odważyłby się uisnąć na mrowisku?

Szerszenie zaś po prostu wyemigrowały do innego, normalnego lasu.

Jak nie trudno się domyśleć, małpa w końcu straciła stanowisko. Sowę przeproszono i zaproponowano powrót do szkoły.

A jaki morał z tej bajki wynika?

No, cóż, drogie dzieci. Wiem, ale nie powiem.

Życzę Wam i Waszym Rodzicom dobrego, a przede wszystkim mądrego nowego roku szkolnego.

A czego ta bajka dotyczyła? O tym w następnym numerze. □



## Patent na zabijanie

Niedawno na antenie pewnego radia znanego z humanitarnego zadęcia i humanistycznego samouwielbienia wysłuchałem „dyskusji” zatrudnionego tam redaktora z jakąś panią bodajże z Uniwersytetu Warszawskiego, którzy wspólnie podnosili skutecznie swój wskaźnik samooceny prawiąc sobie nawzajem duse-ry (dla których to przykrywką, pretekstem była sprawa kary śmierci), jacy to oni oboje są mądrzy, kulturalni, humanitarni, dobrzy *etc. etc.*, w przeciwieństwie do niepoważnych, nie ceniących się prawników i innej zbieraniny niegodnej miana człowieka (to oczywiście w domyśle, ponieważ olbrzymia kultura osobista nie pozwoliła im takiej oceny wprost wyartykułować), która to prymitywna hołota dopuszcza możliwość kary śmierci. Ponieważ nie zaprosili żadnego oponenta – gładko wydali wyrok we własnej sprawie: kara śmierci jest be, a oni są szlachetni.

Jest to ten sam gatunek „humanitaryzmu”, który nakazuje akceptację zalewu Europy przez młodych, silnych, zdolnych do walki „uchodźców” (90% uchodźczych batalionów). Ciekaw jestem, jak „pochylający się” nad losem tychże nazwaliby polskich poborowych, którzy w 1939 roku zamiast walczyć zwialiby masowo za granicę? Ciekaw jestem, jak „pochylający się” zareagowali by na propozycję, aby zamiast „szlachetnego” poparcia każdy z nich przyjął jedną uchodźczą rodzinę z dziećmi do swego domu. Oczywiście nic takiego się nie zdarzy, ponieważ oni, ci szlachetni, z takimi prymitywami, składającymi takie bezsensowne propozycje, się nie zadają. Są oni zwolennikami i praktykują tezę, że to „nie czyni, lecz słowa prowadzą

do Królestwa Niebieskiego”. Co innego w tej sprawie mówi Pismo Święte, ale nie takie zalecenia tej księgi jej wyznawcy miękkim slalomem omijają.

Sprawa wszakże, w której oboje „szlachetni” dmuchali w jedną trąbę (dyskusją tego występu nawet przy najlepszej chęci nie dało się nazwać), nie jest tak prosta, jak usiłowali oboje ją strywalizować przy pomocy starannie dobranych pod tezę przykładów. Ja postaram się dać przykład, o którym tamci na pewno nie chcieliby, jako nie pasującym do ich tezy, nawet się zająknąć.

Cztery lata temu miał wyjść na wolność niejaki Trynkiewicz – wielokrotny morderca nieletnich chłopców, którzy swoje ofiary nie tylko gwałcił, ale też z olbrzymim ich udręceniem zabijał, a następnie bezcześcił zwłoki. Za czasów, kiedy jeszcze w Polsce obowiązywała „barbarzyńska i nieludzka”, kara śmierci została ona w stosunku do tego indywiduum (trudno bowiem coś takiego nazwać człowiekiem) orzeczone czterokrotnie, następnie jednak w związku z „ucywilizowaniem” się Polski zamieniono ją na 25 lat więzienia.

Ten zwyrodnialec pierwszy wyrok za seksualne „używanie” dziecka dostał „w zawiasach”. Kilka tygodni po uprawomocnieniu się wyroku dopuścił się molestowania seksualnego następnego chłopca i otrzymał kolejną karę pozbawienia wolności. Tym razem poszedł wreszcie siedzieć. W czasie przerwy w odbywaniu kary (najwyraźniej sąd porażony swoją nietolerancją postanowił pokazać swoje „ludzkie oblicze”) zamordował w odstępie trzech tygodni czterech chłopców w wieku 11-13 lat.

Gdyby zbrodniarz ten wyszedł na wolność, to będzie dalej zabijał. Pewność, że tak będzie, wynika zarówno z jego własnego oświadczenia, jak i więziennej terapeutki, która nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Dlatego obecnie od czterech lat trwa kontredans wymiaru sprawiedliwości, organów ścigania i lekarzy, co by tu zrobić, aby bezprawnie, aczkolwiek zgodnie z prawem nie wypuścić go „na swobodę”.

Historia ta jest wstrząsającą głosem do decyzji o zakazie stosowania kary śmierci we współczesnej Europie. Obawiam się, że za szlachetne uniesienia poprawnych politycznie i dumnych z siebie bojowników przeciwko karze śmierci zapłacą cierpieniem kolejne dzieci, a niewyobrażalnym, dożywotnim bólem ich rodzice i dziadkowie. W przypadku, kiedy po rychłym wyjściu na wolność to indywiduum ponownie zabije, a on sam jak to wynika z tekstu tego nie wyklucza, uważam, że najbardziej zaciekli przeciwnicy kary śmierci powinni osobiście wytłumaczyć swoje motywy rodzinom ofiar, a te na pewno przyjmą ich słowa ze zrozumieniem i ujęci ich szlachetnością rzucą się im na szyję szlochając ze wzruszenia.

**Zakaz kary śmierci to patent na zabijanie.** Gość, który otrzymał za okrutne i sadystyczne morderstwo karę dożywocia, dostaje patent na zabijanie. Może zabić współwięźnia, może zabić strażnika, a jak ucieknie – może zabić Ciebie i członków Twojej rodziny. A jak nie ucieknie, albo nie dostanie warunkowego zwolnienia, to gość cierpi nieprawdopodobne psychiczne katusze i najczęściej chce ze sobą skończyć, ale skoro jest zakaz eutanazji, to w imię humanitaryzmu niech bydlę cierpi. A ci, którzy walczą o zakaz kary śmierci, będą z siebie nieustająco dumni, przecież są tacy szlachetni. Obłuda, albo brak wyobraźni.

Opisano wielokrotnie przypadki dożywotnich więźniów, którzy za wszelką cenę chcieli poprzez samobójstwo skrócić nieprawdopodobną psychiczną torturę całkowitego odosobnienia (choćby Rudolf Hess, któremu za kolejnym razem się w końcu udało). Ale bezrefleksyjni „postępowcy” mają to w nosie, byleby tylko mogli odegrać rolę pryncypialnego humanisty i potem patrząc w lustro podziwiać swoje szlachetne oblicze.

Przy okazji: już widzę oczyma wyobraźni tę poruszającą scenę, jak ci „dobrzy ludzie” manifestują w czasie procesu norymberskiego przed budynkiem trybunału w obronie życia niemieckich zbrodniarzy, żądając ochrony. Tam groziłoby im co najwyżej „spałowanie” przez amerykańską żandarmerię, ale już w Polsce, gdyby takie zachowania miały miejsce w czasie np. procesu Jürgena Stroopa czy innych hurtowych morderców, mogliby owi szlachetni bojownicy położyć swoje życie na ołtarzu swoich „idei”. Z rąk „rozentuzjasmowanych” rodaków.

Stalin też przejściowo – w latach chyba trzydziestych – ze względów propagandowych zniósł karę śmierci (to jest fakt). Na interwencję zaskoczono Berii zadał mu pytanie, co by wolał: karę śmierci, czy dożywotni pobyt w gułagu. Beria odpowiedział, że zdecydowanie karę śmierci. I wtedy Stalin rzekł: – I właśnie dlatego ją zlikwidujemy. Wielki z tego Stalina humanista był, a tak źle o nim nieżyczliwi mówią. Podłość ludzka nie zna granic.

W prawie karnym istnieje pojęcie tzw. kontratypu. Jest to sytuacja, w której pomimo zaistnienia czynu, jego niedopuszczalności i winy sprawcy, wyłączona jest jego odpowiedzialność karna. Przykładowo: w sytuacji, kiedy dwóch rozbitków na pełnym morzu ma do dyspozycji tylko jedną łódź, na której może uratować się wyłącznie jeden człowiek.

Gdy w walce o ten jedyny środek ratunku jeden z nich zabija drugiego, to zwycięzca – pomimo popełnienia zbrodni – nie podlega karze. Tymczasem my w sytuacji podobnej pozbawiamy się jako społeczeństwo szansy na ratunek.

Przy okazji: w nowoczesnej Europie kara śmierci była *quasi* karą, zwaną karą eliminacyjną (aż dziw bierze, że mądra Pani dyskutantka tego nie wiedziała, a może wiedziała, tylko nie pasowało to do jej koncepcji), i jej uzasadnieniem było nie ukaranie, lecz eliminacja ze społeczeństwa osobników śmiertelnie mu zagrażających, tak jak eliminuje się zgangrenowaną kończynę.

Zakaz „ks” to takie samo gładzenie, jak to że nie wysokość kary, ale jej nieuchronność zapobiegają przestępności. Jeżeli tak, to za morderstwo ferujemy wyroki po sześć miesięcy, byle szybko, i od razu ten rodzaj przestępstw zniknie. Łatwo jest być humanitarnym, jak morderstwa ogląda się tylko na filmach. „Humanisci” pochylają się wyłącznie nad zbrodniarzem, a nigdy nad ofiarą i jej rodziną. Obrzydliwe!

Podobnie, jak większości tych szlachetnych ludzi nie przeszkadza wykonywanie zbiorowych egzekucji na ludności cywilnej różnych krajów, wybieranych przez prezydenta Stanów Zjednoczonych na zasadzie „na kogo wypadnie na tego bęc”. Tylko w ciągu ostatnich kilkunastu lat Amerykanie dzierżący przywództwo „cywilizowanego” świata wraz ze swoimi wiernymi sojusznikami (także nami) wykonali karę śmierci na kilkuset tysiącach cywili w Jugosławii, Iraku, Afganistanie. Dlaczego nie można wyeliminować dla bezpieczeństwa społeczeństwa socjopatycznej, niewykazującej ludzkich odruchów jednostki, a można ze spokojnym sumieniem zabijać Bogu ducha winne kobiety, dzieci, starców i nie tylko się tym szczyścić, ale i odznaczać zabójców,

zanosząc modły dziękczynne? Zabijanie bezbronnych cywili nazywa się wyższą koniecznością, obroną zaś społeczeństwa przed zwyrodnialcami brakiem humanitaryzmu niegodnym cywilizowanego Europejczyka. Niech żyje obłuda.

W tej sprawie idzie mi o całą aurę społeczną, w jakiej takie decyzje – jak bezrefleksyjna likwidacja kary śmierci – następują. Ludzie, a szczególnie nasi rodacy, dają się najczęściej przekonywać w ważnych sprawach społecznych, istotnych dla ich egzystencji, na płaszczyźnie emocji, a nie zderzania rzetelnych, racjonalnych argumentów. Bo czy ktokolwiek, kto zadał sobie trud myślenia, przedłożyłby życie zwyrodniałego mordercy nad bezpieczeństwo swoich bliskich? Nie słuchajmy nawiedzonych, a niestety częściej cwanych proroków, którzy rzeczowe argumenty zastępują krzykiem i graniem na najprostszych emocjach. Muszą być zachowane proporcje. Jestem jak najdalej od tego, aby traktować więźniów w sposób niehumanitarny, ale w sytuacji, kiedy w obecnej Polsce ilość bezdomnych dramatycznie rośnie, a kilkaset tysięcy dzieci codziennie głoduje, nie potrafię jakoś wzruszyć się faktem, że więźniowie mają w celach niedostateczny komfort.

Podobnie jest z ekologami i innymi tego typu ruchami. Tutaj też nie jestem przeciw, tylko uważam, że każde ich hasło należy dokładnie obejrzeć pod światło, czy nie jest falsyfikatem.

Oczywiście kara śmierci powinna być stosowana wyłącznie w ekstremalnie ograniczonych przypadkach i musi być obwarowana zabezpieczeniami unemożliwiającymi pomyłki sądowe. Jedynym bowiem rzetelnym i zasługującym na uwagę argumentem przeciwko tej karze jest możliwość pomyłki sądowej. Ale być powinna.

I jeszcze post scriptum.

Niżej przedstawiam zdjęcie fragmentu „straszliwych kazamatów”, w których bestialsko więziony jest współczesny masowy morderca Anders Breivik. W skład więziennych lochów wchodzi także m.in. osobna łazienka oraz sala do ćwiczeń.



Indywidualnie to za zabicie 77 osób dostało „aż” 21 lat odsiadki, czyli w prostym przeliczeniu po roku za każde niespełna cztery ofiary. Gdyby się nie lenił i zamordował jeszcze siedmiu (to przecież tylko niespełna 10% ogólnej kwoty), rachunek byłby równy. Niedbalstwo, czy zwykle lenistwo?

Ten obiekt humanitarnej troski norweskiego wymiaru „sprawiedliwości” stale narzeka publicznie m.in. na jakość jedzenia i na to, że musi się posługiwać plastikowymi sztućcami. Skarżył się także na kontrolę jego korespondencji i domaga się zgody na przyjmowanie gości. Jak podała PAP sąd norweski przyznał mu rację stwierdzając, że izolacja zbrodniarza od innych więźniów jest sprzeczna z art. 3 europejskiej konwencji praw człowieka. Nie wiem, czy

uznawanie tego zbiorowego mordercy za człowieka nie jest wykroczeniem lingwistyczno-etycznym, ale dziwi mnie bez troska sądu, który naraża innych więźniów na zastosowanie wobec nich przez tego sądowego pupilka kary śmierci, na której zadawanie posiada patent.

P.S. 2.

Po opublikowaniu mojego listu na powyższy temat w tygodniku *ANGORA* (nr 8 z dnia 20 lutego 2011 roku) odezwał się tylko jeden głos sprzeciwu. Napisany był przez skazanego na dożywocie, który siedział – oczywiście – za niewinność, bo czymże jest taki drobiazg, jak zarabianie sąsiada siekierą. Szkoda, że p. Janiszewski nie zaprosił jego

także do dyskusji, miałby jeszcze jednego szlachetnego przeciwnika kary śmierci na antenie, który wprawdzie sam ukarał śmiercią swojego sąsiada, ale nie bądźmy drobiazgowi.

I teraz ostatecznie kończę, bo więcej słów po prostu szkoda. □



Na zdjęciu Męczennik pokazujący sądowni jak wielki jest poziom jego martyrologii

## O starym tygodniku – z sentymentem, o nowym kwartalniku, z nadzieją

Pokolenie moje doskonale zapewne jeszcze pamięta profesora Filutka, Kerna z jego częstochowskimi rymami, czy Falczaka, który kupił sobie błyskawiczną zmywarkę do naczyń, by ją czyścić potem czterzy i pół godziny. W pierwszych powojennych numerach pojawiał się też regularnie August Bęc-Walski, kpiąc z mieszczańskich przywar i poglądów. Niejaki Kamyczek (nb. „Kamyczkowa”, bo... Janka Ipohorska) pouczał inteligencję pracującą, jak posługiwać się przysłowiowym nożem i widelcem. Inteligencja niepracująca bowiem dawno już wiedziała jak się to czyni. Ale np. już wtedy, bez Kamyczka, Polacy całowali kobiety w rękę, choć często spontanicznie i po rękach. Tak im to pozostało do dziś. Wracając do spraw istotnych: nie sposób nie wspomnieć, że czasem pojawiał się tam młody wówczas Sławomir Mrozek i nieśmiało pomieszczał swe ludziki z rozwianym, rzadkim włosem, gdzieś pędzące lub osłupiałe w przerażeniu czy zdziwieniu. Innym razem (dość często) ósemkami, a i dziesiątkami nieraz, przemaszerowywali przez stronicę „powtarzalni” Adama Macedońskiego. Zdarzył się też – za sprawą prof. Kazimierza Wyki – debiucik młodego wówczas (zmarłego zresztą później w podeszłym wieku) poety. Odszedł on w swe ulubione łąki sądeckie i połoniny bieszczadzkie. Młody, młodego, młodemu. A gdzie ci w średnim wieku? No, ci to czekali wówczas na reportaże i wywiady z Hollywood, żądni o podstarzałych aktryscach wieści, słanych dalekopisem zapewne (żadnym faksem) przez bodajże Rogowskiego. Nie każdy „Batorym” mógł wyruszyć wówczas do Stanów czy Kanady. Wrócić mógł prawie każdy, chyba że się rozmyślił. Żartowano np., że Wielka Moskiewska Orkiestra Symfoniczna

wróciła ze Stanów jako kwartet smyczkowy. Polacy przeważnie wracali, choćby po latach, by dokończyć willę w Zakopanem, obłożyć marmurem nagrobek dziadka, czy też spłacić kredyt bankowy. Tak słyszałem. (A odsetki?). Czy pamiętacie cykl *O Wacusi*? Np. taką jego definicję zygzaka: „To najkrótsza linia pomiędzy dwoma barami.” Kopalnią niezamierzonych dowcipów był także „Humor starych zeszytów”. Np.: „Bydło powracało z pola porykując nieludzkim głosem”. Coś jakby o Anglosasach dziś w Krakowie, wracających z Rynku do „Francuza” w nocy. Taki stary, a taki świeży dowcip. Stali czytelnicy z niecierpliwością czekali na cotygodniową krzyżówkę. Mój ojciec co tydzień wysyłający kilkanaście rozwiązanych krzyżówek, tę jedną, z Przekroju, zostawiał mnie. „Tych hasel nie znajdziesz w żadnej encyklopedii, tylko w normalnym życiu” – mawiał. Pyszne były te poszukiwania we własnej mózgowicy.

O czym w końcu mowa? Oczywiście, że o *Przekroju*. O starym, kochanym *Przekroju*. Czytali go wszyscy i wszędzie przez 68 lat. Polonusi z Ameryki, z Australii, bo ja wiem skąd jeszcze, prenumerowali go namiętnie. Był dla nich zapewne jakąś Polską w pigułce. Jaka by ona nie była. Pisywali do niego wybitni dziennikarze, pisarze i poeci. Nie tylko Miłosz i Szyborska, nie tylko Gałczyński, Tuwim, Waldorff. Łatwiej wymienić tych co nie pisali. Pierwszy redaktor naczelny, Marian Eile, pragnął pozyskać do współpracy najlepszych i to mu się udawało. Z czasem współpraca z *Przekrojem* niejako nobilitowała. Wielu początkujących autorów zabiegało o nią.

Pierwszy numer *Przekroju* ukazał się w kwietniu 1945 r.! Miał być kolorowym, ilustrowanym magazynem tygodniowym,

kierowanym przez Jerzego Putramenta. Tak zarządził ówczesny decydet prasowy Jerzy Borejsza, a Kraków wybrał jako siedzibę przyszłej redakcji, bo tu ocalały stare drukarnie, gdzie można było realizować pismo rotograwiurowe.

Mariana Eilego, który znał Borejszę jeszcze z Warszawy i ze Lwowa, uczyniono przekrojowym plastykiem. Tymczasem radziecki żołdat przypadkowo postrzelił Putramenta na krakowskich plantach i trafił on do szpitala. Eile musiał sam sfinalizować wydanie pierwszego numeru pisma. Putramenta, już zdrowego, wysłano jako ambasadora do Szwajcarii. Eile został więc naczelnym redaktorem. Przetrwał na tym stanowisku aż do 1968 r., kiedy to wyjechał do Paryża, nie wytrzymując haniebnych, antysemitycznych ataków. Stamtąd przesłał pisemną rezygnację z funkcji naczelnego i... wrócił do Polski, do Krakowa.

Życiorys Mariana Eilego to materiał godny interesującej fabuły filmowej z „przygodowym” wątkiem okupacyjnym; także z wątkiem powojennym – nazwijmy go... damskim. Dość jednak powiedzieć, że był twórcą najpopularniejszego pisma powojennej inteligencji polskiej, pisma o wysokim poziomie literackim i publicystycznym. Jego *Przekrój* jest uważany za pismo kontynuujące tzw. nurt skamandrycki w polskiej kulturze czasopiśmienniczej.

Jako ciekawostkę warto przypomnieć, że jeszcze Borejsza około 1948 r. chciał przenieść *Przekrój* do... Warszawy. Eile skutecznie grał na zwłokę i pismo pozostało w Krakowie. Co się nie udało Borejszy, udało się koncernowi szwajcarskiemu Edipresse Polska, który w 2002 roku kupił pismo i przeniósł do Warszawy jego siedzibę. Zmienił się zespół redakcyjny, pismo zmieniło styl, większość współpracowników zrezygnowała ze współpracy. W Krakowie tygodnik jakby zniknął. W 2009 roku pewien krakowski (?) biznesmen odkupił *Przekrój* i formalnie pismo wróciło do Krakowa, choć część redakcji pozostała

w Warszawie. Jeszcze w 2011 roku *Przekrój* rezydował w Krakowie na Zabłociu. Ostatni numer wydany przez Gremi Media Grzegorza Hajdarowicza (bo o nim mowa, że z Krakowa) ukazał się 30 września 2013 r. Już w październiku 2013 roku nowym właścicielem *Przekroju* został fotograf Tomasz Niewiadomski z Warszawy. Tak więc pakiet wartości niepoliczalnych, potraktowany niczym towar z dolnej półki, dostał się w ręce – mam cichą nadzieję – odpowiedzialnych ludzi. Młodych ludzi w dodatku.

Proszę zauważyć, że prawie trzy lata nie było *Przekroju* na rynku wydawniczym. Przypuszczać należy, że w tym czasie skompletowano przekrojowe archiwum, dotarto do większości byłych autorów, bądź ich spadkobierców, by uzyskać formalne prawo dostępu i wykorzystania tekstów, rysunków i znaków, fotografii, powtarzalnych kompozycji graficznych, itp. itp. Przecież to miał być *Przekrój*: niby stary, a nowy. Odzyskujący dawnych czytelników, ale i pozyskujący nowych, z nowymi oczekiwaniami. Dopiero po tych wstępnych, istotnych przygotowaniach, zapewne właściciel i grono przyszłych, najbliższych współpracowników, wróciło do dopracowania koncepcji i profilu pisma. Nie wspomnę o poszukiwaniu sponsorów i zabezpieczeniu kooperującej bazy technicznej. To trwało, jak widać, trzy lata.

Warto jeszcze przyjrzeć się właścicielowi i wydawcy w jednej osobie. Tomasz Niewiadomski. Rocznik 1974. Absolwent UW (marketing i zarządzanie, reklama). Dalsze studia to fotografia w Visual Arts & Photography w Sydney, dalej staż u fotografa Davida Michaela Kennedy’ego i u Paula Aresu w Nowym Jorku, wreszcie praca dla japońskiego fotografa Yoji Yamamoto w Tokio. Efektem jego pasji stał się udział w wystawach artystycznych w kraju i za granicą, organizacja galerii, kierowanie fundacją. Nasuwa się pytanie: skąd fotografik wziął 7 milionów złotych dla Hajdarowicza i jak sobie poradzi z kosztami prowadzenia *Przekroju*?

Odpowiedź znaleźć można w domenie „Polska na bogato”. Otóż Tomasz Niewiadomski jest synem Tadeusza Niewiadomskiego, do niedawna jednego z najbogatszych ludzi w Polsce. Soczki Fortuna i Tarczyn, keczup z Kotliny – to są marki Niewiadomskich. Np. w 2010 r. spółka pana N. legitymowała się prawie miliardem przychodów. (To dane z tyg. *Wprost*). Czyżby *Przekrój* miał być prezentem i zabawką dla syna od bogatego tatusia? Oby nie.

Sądzę, że zespół redakcyjny i współpracownicy obecnego *Przekroju* traktują swą pracę serio, fachowo i z pasją. Parasol finansowy właściciela pewnie im czyni pewien komfort psychiczny, choć może się mylić.

Mam dziś przed sobą siedem wydanych już numerów nowego *Przekroju*. Kwartalnika. Pierwszy numer (ale łącznie to w rzeczywistości nr 3556) ukazał się na przełomie 2016/2017 roku. Format: 34x24cm. Objętość: w zasadzie 162 strony (choć raz 146, a innym razem 194). Pierwsze wrażenie: zewnętrzny „ukłon” w stronę historycznej postaci *Przekroju*. Drugie wrażenie: zdecydowanie przerost formy nad treścią. Skąd tyłu w Polsce karykaturzystów, malarzy i plastyków w ogóle? Dalsze spostrzeżenie natury ogólnej, choć nie jestem ponurakiem: nadmiar humoru. Może być czarny, wyrafinowany, lekki (byle nie trywialny), ale za dużo go. W tym: przerost buraka i kapusty. Za mało psów i kotów. Sam Fafik nie wystarczy. Niewiele literatury – choćby niepięknej. Fragmenty nowości ze świata prozy: nie powiem, nie powiem... Jak na Niewiadomskiego fotografa przystało, fotografie profesjonalne, ciekawe. Wiele o sztuce. Gdy biorę do ręki dowolny numer spośród tych siedmiu egzemplarzy, przeważnie przed zanięciem, szukam machinalnie artykułów Ewy Pawlik. Jest ona, jak czytam w stopce, sekretarzem redakcji. Ona chyba podświadomie przywołuje czasy Eilego. Wciąż o nim pisze, wspomina jego współpracowników, notuje strzępy rozmów i wspomnień o starym *Przekroju*, o jego czasach i ludziach, znajduje

smakowite anegdoty redakcyjne i plotki. Np. z taksówkarzem krakowskim szuka i znajduje grób Eilego. To sympatyczne z jej strony.

Jako krakusowi jest mi żal, że tak niewielu z grodu Kraka współpracuje z kwartalnikiem. Wśród grobów królewskich też przecież leży trochę młodzieży. Ten właściciel urodził się w Olsztynie i do Krakowa nawet z Warszawy mu daleko. Ten jego *Przekrój* mógłby być redagowany wszędzie i nigdzie. Dobrze, że choć ma w redakcji Pawlikową.

Oczywiście trochę przesadzam. Pismo jest typowym współczesnym czytadłem. Każdy w nim coś znajduje ciekawego dla siebie. My, krakowianie, wciąż będziemy szukali w nim „starego” *Przekroju*. W naszych czasach, peerelowskich, był on okienkiem na świat. Zaraz po roku 1956 poznawaliśmy w nim bliżej np. Pablo Picassa, Françoise Sagan, „szalała” na szpaltach wiedza o jazzie, o modzie paryskiej. Kydryński, Hoff i sam Eile zwozili z Europy „nowinki” w swej branży, lokując je na łamach *Przekroju*.

Ciekawe, że Eile był bezpartyjnym dziennikarzem, który skutecznie i elastycznie radził sobie z polityczną władzą i z cenzurą nawet. Polityki unikał, ale skutki jego działalności dziennikarskiej świadczyły często, że uniknąć jej było nie sposób. Kazimierz Koźniewski uważał, że Eile był „mądrym, racjonalnym konformistą”, a w jego zespole redakcyjnym polityka „nabierała zawsze postać plotki i żartu”. Życie pisało i pisze prześmieszne historyjki o poważnych skądinąd osobach. Niechże więc na koniec przytoczę za Ewą Pawlik historię, kiedy to sam Pablo Picasso zjawił się któregoś dnia u Eilego w redakcji z pilną prośbą o umożliwienie zakupu nowotarskiego kozuszka dla jego aktualnej „ostatniej muzy” – Lydii Corbett David. Sekretarka redakcyjna Merka Ziemiańska wsiadła z artystą do samochodu, udali się do Nowego Targu i zakupili dwa kozuszki, „co umocniło wzajemne uwielbienie Picassa i *Przekroju*” (cyt. za E. Pawlik). □

DANUTA STOLAREK

## Furcewa Jekatierina Aleksiejewna – bogini czy megiera? (cz. I)

Za życia nazywano ją Katarzyną III. W czym była podobna do poprzedniczek, a w czym była odmienna? Z obydwoma damami łączyło ją patronimicum (otczestwo) Aleksiejewna. Poprzedniczki otrzymały je przy przejściu na prawosławie, zaś ateistka Furcewa otrzymała je po ojcu.

Katarzyna I, mimo że ukoronowana na cesarżową, do końca życia pozostała alfabetką, karierę zaczynała jako praczka i kucharka, na szczyty władzy wprowadził ją mąż Piotr I. Katarzyna II była wykształconą kobietą i całe życie pracowała nad swoim rozwojem intelektualnym, jej mąż - był raczej „kulą u nogi” i balastem. Tylko jego zniknięcie, pozbycie się go, pozwoliło jej rozwinąć skrzydła.

Jekatierina (Katarzyna) Furcewa swoją drogę ku szczytom rozpoczęła w siedmioklasowej szkole przyzakładowej. Zdobyla zawód tkaczki, a późniejsza edukacja była bardziej formalnością niż prawdziwym zgłębianiem wiedzy. Była aktywną działaczką Komsomolu, następnie partii komunistycznej. Mizerne wykształcenie i umiarkowane postępy w rozszerzaniu zakresu wiedzy nie stanowiły dla ambitnej dziewczyny żadnego problemu. Luki intelektualne były jej dobrotliwie wybaczone. W czasach kiedy młoda Furcewa pilnie budowała swoją karierę polityczną wykształcenie niekoniecznie pomagało w drodze na szczyty.

Jekatierina Furcewa, podobnie jak poprzedniczka, budowała swą karierę samodzielnie korzystając z poparcia współpracujących z nią mężczyzn. Wszystkie

miały skłonność do romansów, zdecydowanie były im obce przymioty cnotliwych mniszek. Dwie Katarzyny – pierwsza i trzecia pochodziły z ludu, druga – ze zubożalej rodziny niemieckich ksiąząt. Dwie pierwsze były w Rosji obce, przybyły spoza granic „świętej Rusi”, Furcewa była rodowitą Rosjanką. Mimo, że ich biografie dzieliło półtora stulecia, można znaleźć pewne, oddalone od siebie analogie.

Wkraczały na arenę historyczną dzięki mającym władzę mężczyznom. Można stwierdzić, że były marionetkami w męskiej grze. Wszystkie pragnęły rodzinnego ciepła, miłości i zwykłego kobiecego szczęścia. Żadna nie otrzymała tego, o czym marzyła. Wszystkie natomiast potrafiły wykorzystać raz zdobytą pozycję. O statusie wszystkich trzech decydowały okoliczności i postawa otaczających je ludzi.

Dwie ostatnie odcisnęły wyraźne piętno na kulturze rosyjskiej. Jedna w epoce imperialnej, druga w radzieckiej. W swojej podróży po Rosji wzdłuż Wołgi, Katarzyna II odwiedziła Wyszniy Wołoczok – miejsce urodzenia Jekatieriny Furcewej.

Jekatierina Aleksiejewna Furcewa urodziła się na wsi nieopodal miasteczka Wyszniy Wołoczok w guberni Twerskiej 7 grudnia 1910 roku. Dziś rodzinna wioska Jekatieriny III stanowi dzielnicę pięćdziesięcioletniego miasta. Ojciec Furcewej był robotnikiem – metalurgiem. Zaginął bez wieści na początku pierwszej wojny światowej. Jej matka Matriona była

analfaberką, obdarzoną mocnym charakterem, nie wyszła ponownie za mąż. Aby zapewnić dzieciom środki utrzymania przeniosła się z dziećmi – Jekatieriną i jej bratem Siergiejem do pracy w zakładach tkackich. Wyszni Wółczok był ważnym ośrodkiem przemysłu tekstylnego.

Życie w latach dwudziestych XX wieku nie należało do łatwych, ale i potrzeby nie były wielkie. Młodzież w większości pełna rewolucyjnego entuzjazmu niewielką uwagę przywiązywała do problemów życia codziennego. Najlepiej obrazowały ten stan świadomości stroje, nieomal symboliczne w swej prostocie. Powszechnie były waciaki, frencze, sukienki z wojskowego sukna, obiektem marzeń była ciężka skórzana kurtka. Taki „styl” urody nie dodawał, tworzył natomiast aurę militarną i atmosferę rewolucyjnej bojowości.

Atmosfera ta nie ominęła nawet sfery dzieciństwa. Powszechnie potępiano posiadanie zabawek, zwłaszcza lalek. Panowało przekonanie, że kształtowanie w dziewczynkach instynktów macierzyńskich i rodzinnych jest zagrożeniem dla wielkich idei komunizmu. Dlatego być może wysoka, zgrabna, wysportowana Jekatierina w toku swej politycznej kariery tak bardzo dbała o garderobę. Wyglądem zewnętrznym rekompensowała sobie siermiężne lata wyrzeczeń. To zrozumiałe.

Jekatierina rozpoczęła naukę w szkole przyzakładowej. W wieku piętnastu lat ukończyła szkołę siedmioklasową i rozpoczęła pracę w zakładach tkackich. Przezwisko „tkaczka” będzie jej piętnem przez całe życie, choć w tym zawodzie przepracowała niecałe dwa lata.

Przydomek ten stał się szczególnie przykry, gdy był wykorzystywany przez osoby niezyczliwe, walczące z Furcewą o wpływy.

W 1925 roku nasza bohaterka wstąpiła do Komsomołu, gdzie dała się poznać jako bardzo skuteczna i aktywna

działaczka. Prędko została doceniona i skierowana do pracy w strukturach organizacyjnych Komsomołu. Już w 1929 r. została kierownikiem miejskiego Wydziału Kultury. Rok później wraz z grupą pięćset komsomolców uczestniczyła w misji rozwoju rolnictwa w guberni twerskiej. W następnym roku tę samą misję spełniała w Fieodozji na Krymie. Jej kariera zaczęła przyspieszać. Została sekretarzem krymskiej organizacji komsomolskiej. Tam też poznała o dziesięć lat starszego lotnika Piotra Bitkowa. To, że Bitkow był żonaty i miał córkę, Furcewej nie przeszkodziło, by związać z nim swe życie osobiste. Jak to było wówczas przyjęte, nie zarejestrowali związku. Uważali to za burżuazyjny przeżytek, po prostu zgodnie oświadczyli, że są małżeństwem.

Do dzisiaj w tradycji rosyjskiej funkcjonuje określenie „graždanskaja žena (graždanskij muž)” (co w języku polskim ma znaczenie zbliżone do pojęcia „konkubinat”, ale nie ma negatywnych konotacji, ma nawet odpowiednio wysoki status prawny). Oficjalnie małżeństwo, mimo, że „graždanskoje” (cywilne, umowne?) było uznawane jako uregulowanie statusu rodzinnego.

W 1934 roku partia ogłosiła hasło „Komsomoł – na samoloty” Jekatierina znalazła się w „pierwszym szeregu”. Wyjechała z Bitkowem na poligon w Carskim Siolu. W 1936 r. Bitkow został przeniesiony do Zarządu Politycznego Lotnictwa do Moskwy. Awans ten otworzył przed Furcewą nowe możliwości, szerokie horyzonty. Została sekretarzem do spraw ideologicznych w Komitecie Centralnym Komsomołu. Jej szefem i niemal idolem został A. Kosariew. Jego pochwały znaczyły dla Jekatieriny bardzo wiele. Jednakże, gdy w listopadzie 1938 r. został aresztowany, zniknął z jej pamięci. Potępiła go wraz z całym otoczeniem, gdy

w lutym 1939 roku wykonano na nim egzekucję w więzieniu lefortowskim.

Związek Furcewej z Bitkowem oficjalnie trwał od roku 1935 do 1944 roku., ale faktycznie zakończył się w 1941 roku, gdy I. Bitkow wyjechał na front. W 1942 r. w Kujbyszewie, dokąd był ewakuowany cały aparat Komsomołu, urodziła się jedyna jej córka. Nadanie imienia nie stanowiło problemu. Imię Swietłana, nosiła przecież córka Stalina. Większość członków elity nadawała to imię swoim córkom.

Oficjalnie Swietłana była córką P. Bitkowa, ale krążyły pogłoski, że ojcem dziewczynki jest kto inny. Furcewa i Bitkow przez lata nie mogli się doczekać potomstwa, Furcewa nawiązała romans. O zaistniałej sytuacji poinformowała Bitkowa „zycziwa” sąsiadka. W aparacie partyjnym bardzo dbano o zachowanie pozorów moralności. Bitkow i Furcewa przyjęli wersję, że Swietłana jest owocem ich związku. Chodziło o stabilność kariery polityczno-zawodowej obydwójga. Rozgłoszono, że Bitkow na froncie poznał inną kobietę, i do niej odszedł, na co zgodziła się tolerancyjna Jekatierina. Jeszcze inna wersja głosi, że kiedy przyjechał na przepustkę z frontu oświadczył: „Obrzydło mi życie z twoją pracą”. Dzisiaj trudno ustalić, która wersja jest prawdziwa.

J. Furcewa w pracy komsomolskiej, a później partyjnej zawsze wyróżniała się pracowitością i lojalnością służbową. Do 1933 roku pracowała w różnych strukturach Komsomołu, następnie w partii. Członkiem partii WKP(b) (poprzedniczka KPZR) została w 1930 r. Braki w jej wykształceniu były coraz bardziej widoczne. Pomimo braku świadectwa dojrzałości Furcewa w latach 1933-1938 podjęła studia w Instytucie Precyzyjnych Technologii Chemicznych. Podczas studiów więcej czasu poświęcała

pracy w organizacji komsomolskiej instytutu niż nauce. Awansowała do KC Komsomołu, gdzie aktywnie pracowała w latach 1935-1937. Gdy nadeszła wojna, od pierwszych dni aktywnie uczestniczyła w działaniach na rzecz obrony Moskwy.

Od początku pracy w Komitetach Dzielnicowych Partii w Moskwie potrafiła zdobyć sobie wpływowych protektorów. Sama wielokrotnie podkreślała, jak bardzo dużo zawdzięczała I sekretarzowi komitetu w dzielnicy Frunzenska, P. Bogusławskiemu, który był wszechstronnie wykształconym erudytą, profesorem historii i filozofii na Uniwersytecie Moskiewskim (MGU). Zafascynowany urodą, piękną sylwetką, wyjątkowo zgrabnymi nogami i wdziękiem Furcewej, od razu zauważył także wielkie luki w jej wykształceniu, brak ogłady kulturalnej. Zadbął o odpowiedni dobór lektur, pomógł w samokształceniu. Nauczył ją także sztuki wystąpień publicznych, właściwej gestykulacji, modulacji głosu. Furcewa pod jego opieką ćwiczyła wystąpienia przed lustrem, uczyła się wygłaszania odpowiednich toastów. Zdobyła także umiejętność pamięciowego opanowania tekstów swoich wystąpień. Była pierwszym działaczem partyjnym, który wygłaszał przemówienia bez kartki, co robiło wielkie wrażenia autentyczności na słuchaczach. Dzięki Bogusławskiemu nauczyła się jak „należy grać w męskiej drużynie” i przestrzegać reguł w męskiej grze o władzę. Dała się także namówić na podjęcie studiów w Wyższej Szkole Partyjnej, którą ukończyła zaocznie w 1941 r. Istnieją niesprawdzone informacje jakoby Furcewa w przyszłości pracowała nad dysertacją o partyjnym kierownictwie ministerstwami. Pracy nie obroniła z powodu odwołania z pracy w aparacie partyjnym, a także dlatego, że N. S. Chruszczow zlikwidował ministerstwa. Temat dysertacji przestał być aktualny. .

Znała reguły funkcjonowania w męskim otoczeniu, nie stroniła od imprez alkoholowych, potrafiła korzystać z bogatego zasobu wulgaryzmów, gdy zachodziła potrzeba sięgnięcia po tzw. „ostateczne argumenty”. Często zwykła mówić: „pracuję w męskich zespołach, piję tylko wódkę”. Podobno Furcewą i Bogusławskiego łączył romans, ale kiedy Stalin w 1947 roku rozpętał kampanię antysemicką, dołączyła do grona najaktywniejszych demaskatorów i bez skrupułów zajęła miejsce swego niedawnego mentora. Gdy w styczniu 1950 roku Stalin rozpoczął kolejną czystkę partyjną, także potępiła publicznie kolejnego dobroczyńcę. Podczas obrad tego plenum poznała Chruszczowa. Starając się trzymać głównego nurtu wydarzeń politycznych aktywnie uczestniczyła w czystkach partyjnych, spowodowanych tak zwaną „sprawą leningradzką” (śledztwo w sprawie sprawców zamachu na Kirowa) gdzie gorliwie „czyściła” Komitet ze wszystkich „leningradzkich elementów”, nie oszczędziła nawet pracowników wyższych uczelni.

Podobnie jak wszyscy aparatczycy gorliwie uczestniczyła w nagonce na Borysa Pasternaka (nie czytając żadnego jego utworu).

Ze Stalinem zapoznał ją N. Szwerinik w 1949 r. na uroczystym posiedzeniu poświęconym 25 rocznicy śmierci Lenina. Zrobiła dobre wrażenie na „ojcu narodów”, nawet zaszczycił ją kilkoma komplementami.

Zawsze była posłusznym aparatczykiem, wiernym linii partii i oczekiwaniom partyjnej „wierchuszki”. Nawet ci, którzy byli jej niechętni podkreślali jej pracowitość i talenty organizatorskie. Wymagała wiele od podwładnych, ale także i od siebie. Czasami wydawała absurdalne polecenia.

Gdy Stalin rozpoczął kolejną kampanię znaną jako „sprawa lekarzy”, Furcewa

zażądała od lekarzy wynalezienia skutecznej szczepionki na raka. Poleciała też, aby zlikwidowali zachorowalność na choroby nowotworowe przed kolejną rocznicą rewolucji. Jej polecenia dotyczyły także zlikwidowania odry dziecięcej lub gruźlicy przed kolejnymi obchodami święta 1. maja, czy też terminem plenum Komitetu itp. (terminy były czasami dwu- lub trzymiesięczne). Nie potrafiła zrozumieć, że zjawiska przyrodnicze i biologia nie są podporządkowane grafikowi uroczystości partyjnych. Wówczas używała koronnego argumentu: „... muszę na plenum jako pierwsza złożyć tow. Stalinowi raport z wykonania zadania...”.

Wraz z powrotem do Moskwy N. Chruszczowa, na polecenie Stalina, w 1949 roku Furcewa zaczęła błyskawicznie awansować w strukturach partyjnych. W latach 1950-1954 najpierw jako drugi sekretarz Komitetu odpowiadała za sprawy ideologii, kultury, nauki, administracji, później (od marca 1954 r.) została pierwszym sekretarzem Moskiewskiego Komitetu Miejskiego KPZR, a także deputowaną do Rady Najwyższej ZSRR. Mawiano wtedy, że została „gospodynią stolicy”. Komitet stołeczny partii miał najwyższą rangę w hierarchii struktur partyjnych, podlegał bezpośrednio KC KPZR i był trampoliną na szczyty władzy. Już taki status przyprawiał o zawrót głowy, a Furcewą czekały dalsze stopnie w drodze na partyjny Olimp. W jej przypadku trampolina stała się katapultą.

W środowisku władz partyjnych krążyły (raczej mało wiarygodne) plotki o kolejnym romansie Jekatieriny z N. Chruszczowem. Prawdą było, że często przed rozpoczęciem pracy przychodziła do jego gabinetu i dzieliła się swoimi pomysłami, ale jak twierdzą bliscy współpracownicy, bardziej szukała jego wsparcia do realizacji swych koncepcji niż okazji do intymnych kontaktów. Stalin

niechętnym okiem patrzył na kariery kobiet. Twierdził, że na stanowiska partyjne nadają się tylko silni mężczyźni z „bycznymi nerwami i optymizmem” i tylko takich dobierał.

Od 1946 r. krążył dowcip (rzekomo autorstwa Stalina): „najkrótsza historia ludzkości: matriarchat – patriarchat – sekretariat”. Furcewa była zatem białym krukiem w tym męskim gronie i jedyną kobietą w Biurze Politycznym KC KPZR, aż do czasów Gorbaczowa. Przykuwała uwagę atrakcyjną sylwetką, o którą zawsze dbała. Świetnie pływała, grała w tenisa, uprawiała codzienną gimnastykę. Była wysokiego wzrostu, z wyjątkowo zgrabnymi nogami, potrafiła zwrócić na siebie uwagę. Miała wrodzony wdzięk.

Na XIX zjeździe KPZR (1952 r.) została zastępcą członka KC KPZR i sekretarzem KC. Apogeum kariery przyszło nieco później. Jej osobistym sukcesem był XXII zjazd KPZR, gdzie została wybrana na członka Prezydium (późniejsze Biuro Polityczne) KC KPZR. Portrety Furcewej noszono na demonstracjach podczas uroczystości państwowych, zajmowała miejsce na trybunie honorowej, na Mauzoleum Lenina w gronie członków najwyższego kierownictwa partii i państwa. Tamte lata będzie pamiętać i wspominać do końca życia.

Nadszedł rok 1957, a wraz z nim kryzys w kierownictwie KPZR. Część działaczy z Prezydium Komitetu Centralnego postanowiła usunąć Chruszczowa ze stanowiska pierwszego sekretarza. Furcewa udaremniła ten spisek. Chruszczow był wtedy nieobecny, więc postanowiła ostrzec szefa i jego zaufanych towarzyszy. Pod pretekstem skorzystania z toalety (damska znajdowała się w innym skrzydle budynku i trzeba było minimum 10 minut aby tam dojść) udała się do swego gabinetu i stamtąd zawiadomiła telefonicznie marszałka G. Żukowa

i ówczesnego szefa KGB I. Sierowa. Następnie doprowadziła do zwołania Plenum KC. Członków Plenum nocą przywieziono samolotami wojskowymi i nazajutrz ich głosy uratowały Chruszczowa przed dymisją. Trudno się zatem dziwić, że relacje Furcewej z I sekretarzem KC KPZR układały się bardzo poprawnie, wręcz przyjacielsko. Jekatierina zasięgała jego rady i opinii nawet w sprawach czysto osobistych. Tak też było, gdy „z błogosławieństwem Chruszczowa” w roku 1954 wyszła za mąż po raz drugi. Wybranek był przystojny, o dwa lata starszy od Jekatieriny. N. Firiubin, absolwent Moskiewskiego Instytutu Lotnictwa, już wówczas żonaty, miał z pierwszego małżeństwa córkę Ritę, z którą Furcewa się zaprzyjaźniła i bardzo dobrze ją traktowała. Firiubin oprócz żony miał jeszcze kochankę, lecz z nie zrezygnował.

Znajomość Furcewej z Firiubinem datuje się jeszcze na czasy przedwojenne. Wtedy niedokształcona, nieco prymitywna, ubrana „po radziecku” młoda działaczka nie zrobiła na Firiubinie żadnego wrażenia. On zaś spodobał się jej od pierwszego wejrzenia. Jednakże, mimo starań Jekatieriny małżeństwo nie było udane.

Na ich weselu honorowym gościem był N. Chruszczow. Był duszą towarzysstwa. Bawił gości swoim śpiewem, ukraińskimi tańcami i znakomitym poczuciem humoru. Ale wkrótce po weselu wysłał Firiubina na placówkę najpierw do Czechosłowacji, a później do Jugosławii. Świeślana, córka Furcewej wyjeżdżała do niego na wakacje letnie i zimowe, wracała zachwycona i hojnie obdarowana nowymi strojami. Furcewa nie chciała ryzykować kariery partyjnej. Wołała nie zwracać uwagi na to, co powodowało nieprzychylnie komentarze. Złośliwi mawiali, że „Firiubin miał wesele, a Chruszczow miód”.  
miodowy”.

Szef partii w 1957 roku przywrócił N. Firiubina do Moskwy na stanowisko wiceministra spraw zagranicznych. W tym samym roku z placówki dyplomatycznej w Budapeszcie odwołano Jurija Andropowa, którego wkład w tłumienie węgierskiego powstania był powszechnie znany. Furcewa odzyskała męża (tak przynajmniej jej się wydawało), ale straciła dostawcę kreacji z Europy Zachodniej. Tę funkcję przejęła Nadia Léger, z którą Jekatierina się zaprzyjaźniła.

Na tym etapie kariera polityczna N. Firiubina się zakończyła, już więcej nie awansował. Furcewa była zmęczona jego licznymi romansami i nieznośnym charakterem zarozumiałego, rozkapryśzonego egocentryka i egoisty. Firiubin był zazdrosny o jej wyższe stanowisko, ale chętnie korzystał z jej wsparcia. Furcewa starała się zachować pozory, ale małżeństwa już nic nie mogło uratować. Pryszła cały romantyzm, pozostały tylko wspomnienia i nic więcej. Przestała zabiegać o jego karierę.

Kiedy Firiubin chciał jej dokuczyć, sarkastycznie przypominał jej miejsce urodzenia „Wyższy Swołoczok” (przekręcając nazwę co oznaczało „najwyższe draństwo”, „łajdactwo”), lub mawiał, że ciężko być „mężem babci”. Złośliwość miała źródło w fakcie, że jej córka Swietłana w wieku 19 lat wyszła za mąż za syna członka Biura Politycznego KC - drugiego po Chruszczowie człowieka we władzach KPZR. Było to małżeństwo zaaranżowane przez matkę narzeczonego w duchu „nowej arystokracji”. Teściowa poznała Swietlanę, gdy towarzyszyła swej matce w oficjalnej wizycie do Indii i Nepalu. Honorowym gościem na weselu był L. Breżniew, Swietłana urodziła jej wnuczkę, której nadała imię Marina. ( Firiubin ze swoją ostatnią kochanką ożenił się w niecałe dwa tygodnie po śmierci Furcewej). Ok. 1960

r. los przyniósł Jekatierinie kolejne bolesne doświadczenia. Wtedy to nie wybrano jej w skład Prezydium KC KPZR. Był to szok, bo nigdy nie podejrzewała, że służby specjalne mogą podsłuchiwać ludzi ze szczytów władzy. Materiały z podsłuchów trafiły bezpośrednio do Chruszczowa. Szczególne wzburzenie wywołały kąśliwe opinie Furcewej, wypowiedziane o nim w prywatnej rozmowie z sekretarzem KC A. Aristowem (późniejszym ambasadorem w Polsce). Jekatierina już wtedy nadużywała alkoholu, co wyzwalało w niej chęć wynurzeń natury osobistej. Wypowiedzi Furcewej nagrywano między innymi w tzw. pokojach wypoczynkowych, ulokowanych obok gabinetów dostojników KC. Treść zarejestrowanych rozmów przesądziła o decyzji Chruszczowa. Kariera polityczna Jekatieriny Furcewej dobiegła końca.

Chruszczow nie tolerował w swoim otoczeniu ludzi, którzy byli świadkami jego słabości, a tym bardziej jeśli im coś zawdzięczał. Ludzi traktował instrumentalnie, najbardziej tępego, ograniczonego działacza mógł wynieść na szczyty władzy, by wkrótce pod wpływem nastroju strącić go bez skrupułów w polityczny niebyt. Chorobliwie reagował na jakąkolwiek krytykę, także ze strony Furcewej. Mimo to, po odejściu Chruszczowa wszyscy (a zwłaszcza wrogowie Chruszczowa) dobrze pamiętali, że Jekatierina była „jego człowiekiem”. Ona zaś zawsze była przekonana, że stanowią zwartą, lojalną drużynę. Życie jednak dowiodło, że na szczytach władzy z przyjaciółmi łatwo się rozstawano. Miejsce Furcewej zajął M. Susłow, który podobno znał dzieła Lenina na pamięć i zawsze miał na podorędziu stosowny cytat.

„Żelazna Jekatierina” propozycję objęcia stanowiska ministra kultury potraktowała jako obrazę i upadek ze szczytu władzy. Nie wyobrażała sobie innego

życia poza kręgiem nomenklatury partyjnej. Mając 47 lat i 32 lata pracy w strukturach komsomołu i partii była święcie przekonana o swoim szczęściu, o sukcesie i o tym, że jest niezastąpiona. Takiego krachu, takiej degradacji nie przewidywała nawet w koszmarnych snach.

Wtedy właśnie podjęła pierwszą próbę samobójstwa, przecinając sobie żyły. Uratowała ją przyjaciółka, z którą była umówiona i zapomniała odwołać spotkanie.

Stanowisko ministra kultury ZSRR objęła w 1960 roku. Mimo, że na XXII zjeździe KPZR została jeszcze wybrana w skład członków KC, to do Prezydium KC już nie weszła. Co prawda była zapraszana na posiedzenia KC, ale pozbawiono ją odpowiadającej statusowi limuzyny, ograniczono ochronę osobistą. Na domiar złego środowisko wyraźnie dawało jej odczuć obniżenie jej statusu i miejsca w hierarchii.

Była jedyną kobietą na stanowisku ministra kultury w całej historii ZSRR, a także i „późniejszej” Rosji. Stanowisko to piastowała przez 14 lat, aż do śmierci.

Jeszcze jako funkcjonariuszka partyjna zapisała się pewnymi dokonaniem w życiu kulturalnym Moskwy. To z jej inicjatywy w 1954 r. wzniesiono pomnik założyciela Moskwy Jurija Dołgorukiego. Również największy w Moskwie stadion Łuźniki, (zbudowany na dawnym

wysypisku śmieci), powstał przy jej bardzo aktywnym wsparciu w latach 1954-56. Także Furcewej zawdzięcza Moskwa otwarcie Teatru „Estrady” i największej księgarni „Moskwa” na obecnej ulicy Twerskiej (wówczas M. Gorkiego). Wielkim wydarzeniem w kraju za żelazną kurtyną był Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Moskwie w 1957 roku. Co prawda laury przypadły Chruszczowowi, ale energia i dar przekonywania Jekatieriny doprowadziły do sfinalizowania i sukcesu wielkiej imprezy propagandowej.

Doprowadziła także do zaprojektowania i budowy wielkiego Domu Towarowego z artykułami dla dzieci „Dietskij Mir” („Świat dzieci”) w samym centrum Moskwy. Z jej inicjatywy zabawki (szczególnie modele kolejek) niemieckiej firmy „Piko” były w stałej sprzedaży.

cdn

### **Dr Danuta Stolarek**

Absolwentka filologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Doktorat obroniła w Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym im. Łomonosowa. Jest tłumaczem przysięgłym. Wieloletnia współpraca z MSZ i najważniejszymi instytucjami państwowymi zaowocowała bogatym doświadczeniem i celnymi obserwacjami.

Danuta Stolarek tłumaczy książki z dziedziny politologii, publicystyki prawnej i ekonomicznej.



## Rzeczywistość w ujęciu współczesnej fizyki: Carlo Rovelli

Od końca XIX wieku postępy w medycynie zaburzyły mechanizmy selekcji naturalnej i spowolniły systematyczny wzrost ludzkiego IQ, a od końca XX wieku (od około 1975 r.) dodatkowe czynniki spowodowały, że ludzkie IQ szybko maleje (około 7 punktów na pokolenie). Ta smutna sytuacja skutkuje rozkwitem fałszywych teorii (od okultyzmu wcześniej do zwolenników płaskiej ziemi, chemtrails i innych obecnie), które padając na podatny grunt uzyskują w Internecie absurdalnie wielką klikalność. Popatrzymy na teorie naukowe i nienaukowe: klipy o płaskiej ziemi osiągają ponad 1 mln oglądnięć, klipy o elektrodynamice osiągają poniżej 100 tys., a np. rewelacyjne wykłady Erika Verlinde dotyczące grawitacji kwantowej zaledwie 1-10 tys.

W internetowym zyspie coraz trudniej wyłuskać okruchy teorii naukowych, dlatego z przyjemnością czyta się książkę fizyka i popularyzatora nauki Carla Rovelliego „Rzeczywistość nie jest tym czym się wydaje” (wyd. Feeria, 2017; także w Sieci – ePub w formacie pdf), która podaje aktualny stan badań i teorii fizycznych, poprzedzony wstępem historycznym. Ciekawostka: w tytule dwie litery są odwrócone, ale ten błąd wcale się nie rzuca w oczy, nawet przez dłuższą chwilę. To pomysłowa analogia do niezliczonych sytuacji w historii nauki, w których badacze mieli rozwiązania „przed oczami”, ale ich wyobraźnia nie była w stanie wyjść poza utarte schematy. Ciekawość świata, wyobraźnia i łamanie schematów jako główne motory

rozwoju nauki przewijają się przez całą „Rzeczywistość”.

Tytuł i podtytuł sugerują, że znajdziemy w książce bieżący stan wiedzy wzbogacony o krytykę subiektywnych i często fałszywych intuicji, z jakimś wstępem, dlatego obfita dawka historii badań naukowych od czasów Demokryta do Maxwella wystawia cierpliwość czytelnika na 85-stronicową próbę. Zresztą możemy zgodzić się z intencją Autora, który chciał pokazać również rozwój sposobu myślenia o świecie i rozwój narzędzi badawczych. Ponadto w tym filozoficzno-historycznym wstępie zawarł kilka kluczowych informacji i definicji, np. Wszechświat vs wszechświaty na str. 13, czy przestrzeń vs pole grawitacyjne na str. 87, co pozwala zrozumieć i uporządkować te i inne podstawowe zagadnienia.

Opowieść autora sprawnie przedstawia kluczowe zagadnienia obu teorii względności i mechaniki kwantowej. Stosując niekonwencjonalne analogie autor wyjaśnia również całkiem podstawowe elementy: pola, cząstki, przestrzeń, które – pozornie nam znane – posiadają cechy i zachowania nieraz całkowicie sprzeczne z intuicją.

Książka z pewnością jest warta przeczytania. Dla laików jest to znakomicie wyjaśnione kompendium kluczowych zagadnień, a dla osób „zorientowanych” – przystępne powtórzenie materiału.

Czy należy się 5 na 5? Dałbym 4, bo przeszkadza mi trochę natarczywe wynajdywanie korzeni współczesnej fizyki

teoretycznej całe wieki wcześniej, w pracach filozofów i poetów:

– teoria atomistyczna (Daltona) ma jakoby swój pierwowzór u Demokryta/Lukrecjusza (str. 46)

– 4-wymiarowa hipersfera Riemanna wprowadzona przez Einsteina do opisu czasoprzestrzeni miałyby zostać odkryta przez Dantego Alighieri w XIV w. (s. 105).

Tu akurat wyobraźnia autora trochę nas „wybijała”. Przecież w literaturze i poezji od czasów antycznych tyle różnych rzeczy napisano, że można tam znaleźć „dowody” dowolnych teorii, prawdziwych i fałszywych.

Można też zakwestionować dysproporcję pomiędzy rozbudowaną częścią historyczną a wyrywkowym – żeby nie powiedzieć zdawkowym – przedstawieniem najnowszych koncepcji fizycznych i ich konsekwencji, które wywracają nasze dotychczasowe intuicje do góry nogami. Prosiłoby się, żeby autor, który jest jednym z twórców pętlowej teorii grawitacji i zna się na rzeczy, poświęcił więcej miejsca teorii granulacji przestrzeni, koncepcjom nadawania cząstkom masy, splątaniu kwantowemu czy ciemnej materii/energii. Autor wbrew tytułowi nie stawia również przysłowiowych „kropek nad i”, ani nie daje wyczerpującej wykładni, czym tytułowa rzeczywistość rzeczywiście jest, ani nie udowadnia, że nie jest tym czym się nam – obecnie – wydaje.

Nawet jeśli nie zgodzimy się z nadintrypretacjami przekazów historycznych, to należy się wielki plus dla autora za ciekawy wybór poruszonych problemów i ich przystępne wyjaśnienie, dzięki czemu książkę się czyta żwawo od deski do deski. A drugi plus za te wszystkie momenty, w których przerywamy czytanie, żeby chwilę pomyśleć.

Wyobraźnia to jedyna trwała prze-waga ludzkości nad automatami, a spadek IQ w naszej populacji wynika wręcz z malejącej roli wyobraźni w naszym życiu. Zamiast listu – selfie+emotikon, zamiast książki – film, nawet zamiast newsa – klip. Czytajmy Rovelliego i pobudzajmy naszą wyobraźnię póki nie jest za późno.

Carlo Rovelli – *Rzeczywistość w ujęciu współczesnej fizyki*, Wyd. Feeria, 2017 □

McK

[Autor recenzji jest absolwentem fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego – red.]

## PIOTR AUGUSTYNEK

### URODZINOWY TOAST

Pół wieku temu  
Rozpocząłem zadziwianie świata  
Z samymi sukcesami choć

Nie wynalazłem bomby  
Nie sklonowałem nikogo  
Nie podpaliłem świątyni  
Nie rozpętałem wojny

Zrobili to już inni  
Spokojnie więc wypijam  
Moją pięćdziesiątkę.

### PRZEJŚCIE

Wychodzę o zmroku  
Ciekawy ciemności  
Czekam na nieswoje zbawienie  
Patrzę jak świat umiera  
A o świcie znowu się rodzi  
Zakładam różowe okulary  
Ślepego żebraka

Zasypiam rankiem  
By przespać dzień  
Budzę się znów o zmierzchu  
By przeżyć niepotrzebną noc

## Bezdroża piekła i nieba

**Piotr Augustynek** jest z zawodu nauczycielem, z wykształcenia polonistą.

Do jego osiągnięć twórczych niewątpliwie należy autorstwo piosenek i sztuk teatralnych dla dzieci.

Jest to trudna sztuka pisania, która nie zawsze trafia do tak wybrednego i krytycznego odbiorcy, jakim są nasi milusińscy. Małego widza nie da się oszukać, zwieść sztuczką literacką, a nawet wyszukaną metaforą, jeśli nie trafia do jego przekonania.

A Piotr Augustynek znalazł klucz do serc młodego widza i stał się w tym zakresie autorytetem. Ponadto dał się poznać jako współzałożyciel znanego teatru PARAWAN, sprawdzając swe utwory w praktyce scenicznej.

I oto Piotr Augustynek objawił się także po e t ą, który przez wiele lat uprawiał i publikował wiersze w prasie kulturalnej, tomikach zbiorowych i almanachach literackich. Tajemnicą pozostanie jak udało mu się łączyć to ze swoją szeroką działalnością społeczną i zawodową, prowadząc warsztaty literackie, uczestnicząc w konkursach artystycznych jako juror, dyrektorując w gimnazjum, prowadząc działalność dydaktyczną w liceum. Nie wolno zapomnieć o działalności społecznej w Stowarzyszeniu Twórczym Artystyczno-Literackim. Utwory literackie, a także grafiki rozproszone w prasie i książkach dojrzały do tego, by je zebrać i opublikować w osobnej książce. Inne już czekają w kolejce na swój odrębny żywot. Będziemy odtąd uważnie obserwować jego literacką i plastyczną twórczość. I sądzimy, że Piotr Augustynek zaskoczy nas jeszcze swymi dokonaniem i twórczymi poszukiwaniami.

\*

Zebrane w tym tomie wiersze autor opatrzył tytułem „Pożyczone Niebo” i podzielił na cztery rozdziały. Podmiot liryczny próbuje odnaleźć się w zastanej rzeczywistości, określić dobra i zła, prawdy i kłamstwa, brzydoty i piękna. Stawia sobie pytania o istnienie ideału, który ma być źródłem i pierwowzorem. Rzeczywistość jednak, zarówno ta realna jak i wyobrażona, różni się od absolutu, a często jest bogatsza od idei. Bohater wierszy zbiera doświadczenia, obserwuje otaczającą go rzeczywistość i buduje nowe światy, stawiając często pytania, na które nikt nie może znaleźć odpowiedzi. Ale wyzwania, które narzuca sobie prowadzą do buntu przeciw sile wyższej (*vis maior*), będącej uosobieniem bogów.

Ich milczenie potwierdza fakt, że stworzył je człowiek wraz z mitem Nieba. Bogowie mają wiele twarzy i imion, mieszkają w różnych „świętych miejscach” zwanych Niebem, które różnią się między sobą. Te mity stworzył człowiek, żyjący w różnych częściach świata. Stworzył też Piekło będące więzieniem niepokornych dusz. Mity te powstały ze strachu i nadziei na wieczne życie.

Ale bohater wierszy nabiera wątpliwości co do istnienia tych bogów, których przecież stworzył i sensu tych oczekiwań. Lecz bogowie mityczni milczą. Podmiot liryczny dochodzi więc do wniosku, że tylko rozum jest prawdą, tylko on, reszta jest fatamorganą. Zatem pytanie „jaka jest prawda o człowieku ?” zostaje retoryczne, na w pół egzystencjalne. Bohater wierszy wędruje przez świat, zbiera prawdy o człowieku, które się wzajemnie wykluczają. Sięga nawet do obszarów

religijnych, zaprzyjaźnia się z diabłem, który wydaje mu się przystępniejszym i szczerym, a nawet przyzwoitym kompanem, jak choćby wtedy, gdy przyznaje się, że „*czasem / pysk i ogon / w moim piwie umoczy*”. Wyobraża sobie, że w Piekle jest „*nareszcie / pełna demokracja / i zbratanie dusz (...) trwa wybór władz / związku byłych papieży*”.

Ciekawe jest jego wyobrażenie Nieba, którego zresztą kawałek „*nieduży w sam raz*” autor pożyczył sobie i stać go nawet „*na dwa własne anioły*”, a one „*dostały ciepły kąpiel*”, choć są leniwe i „*kompletnie nic nie robią*”. Tylko tyle, że w Niebie jest na ogół nudno. Co innego w Piekle, w którym jest znane, światowe towarzystwo, a nawet sabat czarownic, pełniący rolę zespołu rozrywkowego. Tyle tylko, że „*smoła bywa za zimna*”. Bohater wierszy rusza przeto dalej na poszukiwanie sensu życia.

Całość tomu, jak już mówiliśmy, podzielona jest na cztery rozdziały, poczynając od wędrówki przez Piekło i Niebo oraz kolejne, w których obserwacja życia codzienne prowadzi podmiot liryczny do budowania prawdy o człowieku. „Kluczem niepamięci” autor nazwał cykl życia, które jest przejawem prognozy egzystencji. Wszystkie sytuacje i zdarzenia podporządkowane są bowiem prawom życia i śmierci, które są tylko częścią egzystencji, kolejnym progiem istnienia.

Wyobrażone Piekło i Niebo istnieje w rzeczywistości w nas samych i tylko my je kreujemy, a także sami stwarzamy w codziennym bytowaniu.

Bohater wiersza „Odejście” mówi, że „*chciał pokochać cierpienie*” i „*że najważniejsze to mądrze cierpieć / bez*

nienawiści / bez skargi / z poczuciem *wszechsensu*”. Sztuką jest, dodaje autor „*wstawać rano / tak / by nie spłoszyć / prawdy o sobie*”.

A jeśli koniecznie chce się iść do Nieba, to jest „*nawet niedaleko / tuż tuż / za rogiem / skrzypią drzwi / barman / wciąż ten sam / jak wykrzyknik*”.

Ale nie sposób mieszkać w Krakowie i nie pokochać tego miasta. A najważniejsze to przetrzymać upał, gdzie „*dorożkarskie konie / zazdroszą zimnego piwa / swoim woźnicom*”. Bywa jednak, że „*około północy / słychać płacz kulawego diabła / którego pobili / dwaj aniołowie / niebiescy stróżowie (...) bo nie chciał im dać / na flaszkę*”. Oj, jak to dobrze zestarzeć się w Krakowie, powie poeta szczerze, „*jak dobrze pisać wiersze / można w beczasie / by dojść do Nieba*” – wyzna z rozrzewnieniem.

Należy podkreślić, że wiersze te zawierają pokąźną dawkę humoru, charakteryzującą się przysłowiową lekkością i operującą piękną polszczyzną.

W żadnym wierszu nie znajdziemy obcych, czy też wyszukanych słów, nie ma piętrowych metafor, które miałyby zastąpić obrazowanie wierszy.

A przede wszystkim utwory te cechuje trafna *pointa*, czy też wyraziste przesłanie. Szczęśliwie autor unika też zużytych rymów i pseudoklasycznych wzorców, które nie wnoszą niczego świeżego do poezji współczesnej.

Wędrówki poetyckie twórcy zapowiadają odkrywanie nowych światów i ciekawych zdarzeń.

Czekamy niecierpliwie. □

Piotr Augustynek, *Pożyczone niebo*,  
Wyd. STAL, Kraków, 2018



interia.pl, 19.08.2018

**„Znów wznosi się mury zamiast budować mosty” - napisał papież Franciszek w przesłaniu do zorganizowanego w Rimini, na północy Włoch, dorocznego spotkania katolickiego ruchu Komunia i Wyzwolenie. Dodał, że panuje intencja do zamykania się wobec tego, co inne.**

### Komentarze.

~GriffinAllen:

Każda współczesna religia jest taka sama jak niegdyś wiara w Zeusa, Odyna, Światowida czy Ozyrysa. Wszystkie religie mają swą datę ważności. (...). Najbardziej zindoktrynowani i ogłupieni katolicy idą zwykle do seminariów duchownych lub działają w różnego rodzaju sekciarskich grupkach katolickich (szkoły i organizacje katolickie, Nowa Ewangelizacja, Effatha, Dominikanie, Fronda, oazy, kółka różańcowe, szkoły przyparafialne, rekolekcje). Członkowie sekty katolickiej dążą do ośmieszenia wszystkich i wszystkiego, co do tej pory było cenne w życiu człowieka, który na nich trafi. Grupa oazowa katolików daje gotowe odpowiedzi na wszystkie pytania. Nienawidzi i depcze wszystko co jest sprzeczne z jej psychiczną chorobą, nazywaną przez katolików „upojeniem Duchem Świętym”. Pod tym względem jest podobna do innych niebezpiecznych sekt, np. Świadków Jehowy. Sekta katolicka ma szkodliwy i destrukcyjny wpływ na młodych ludzi i na więzi rodzinne. Najłatwiej ulegają ich wpływowi osoby, którym brakuje wsparcia ze strony rodziców, którzy mają poczucie niższości, niską samoocenę, są zagubieni,

mają niezaspokojone potrzeby emocjonalne, łatwo ulegają magicznemu myśleniu i wpływom innych. W rzeczywistości szukają grupy wsparcia, a znajdują katolicką grupę, która może zniszczyć ich psychikę, osobowość, relacje z rodziną, innymi ludźmi i z samym sobą. Odpowiednio przeszkoleni fachowcy od manipulacji próbują przekonać każdego nowego lub wątpliwego wyznawcę, że całe jego dotychczasowe życie było błędne. „Udowadniają” danej osobie, że otrzymała błędne wychowanie, że ma nieszczęśliwe życie i że ma błędne poglądy religijne. Kolejną metodą pozyskiwania wyznawców jest obietnica zbawienia. Przywódcy sekty katolickiej zapewniają, że każdy, kto stanie się ich wyznawcą, będzie na pewno zbawiony, a pozostali ludzie będą na pewno nieszczęśliwi i zostaną potępieni. Grupa ta uzurpuje sobie prawo do posiadania wiedzy na temat jedynej drogi do Boga, Zbawienia, Raju, Ostatecznej Rzeczywistości, Pełnego potencjału, Drogi do szczęścia itd. Agresywnie i wulgarnie wyśmiewa wszystkich i wszystko co nie zgadza się z jej tokiem myślenia, twierdząc, że osoby nie należące do sekty (ateiści lub inne wyznania) są nieszczęśliwe i zagubione. Celem owej sekty jest uzyskanie pełnego panowania nad swoimi członkami, wiernymi i zatrzymanie ich na stałe wewnątrz grupy. Niestety, w Polsce wciąż udaje jej się to śpiewająco



~masakra: Już w pierwszym stwierdzeniu bredzisz, PONIEWAŻ: gdyby nie była inna, podzieliłaby los wiary

w Zeusa, więc jest inna. Jak tak prostej rzeczy nie widzisz – musisz mieć kłopoty z percepcją; więc reszty twoich wycięć nie warto nawet czytać.

### ~spokodo ~masakra:

A skąd wiesz, że nie podzieli? Religia starożytnego Egiptu trwała ponad 2500 lat, czyli dłużej niż chrześcijaństwo.

~Oloo: [pisownia oryginalna – red.] Nie wiem, czy każdy lewak musi być taki niewykształcony?? Nie znałem nigdy w miarę wykształconego antyklerykała.... Jakby był, to by wiedział, kto zakładał szkoły powszechne w Europie i kto zakładał pierwsze uniwersytety w Europie. Dlaczego szkoły katolickie są najlepsze na świecie, a w laickiej Francji do katolika pchają się nawet zamożniejsi muzułmanie. Świat nie wykształcił jeszcze wyższej kultury niż chrześcijańska. To ta kultura daje możliwość takim tłumokom pisania takich bzdur jak napisał GriffinA-len. To, że przez wieki ludzie wiedzieli, że Bóg istnieje, ale nie wiedzieli jak(-i?) On jest, więc istniały Jego błędne obrazy i poglądy o Nim, to akurat nic dziwnego. Wprost przeciwnie pokazuje, że religijność istnieje odkąd istnieje człowiek, że to część natury człowieka, a ateizm to wypaczenie człowieka. Zresztą ateści częściej gadają o religii niż przeciętny wierzący, często to są fanatycy (anty)religijni. Ateizm jeszcze nie przyniósł światu nic dobrego, tylko krwawe rewolucje niewykształconej biedoty i totalitaryzmy jak komunizm. Pozdr.

### [kom. JK:]

W tekście „wykształconego”, liczącym ok. 12 linijek, jest blisko 10 błędów pisowni i ortografii; dla unaocznienia wyróżniłem je na czerwono

(także brakujące znaki interpunkcyjne i nadmiarowe). Przy czym zwykle literówki pomijam (np. sa zamiast są, spacje w niewłaściwych pozycjach lub ich brak). To w kwestii douczenia w zakresie języka polskiego na poziomie podstawowym.

Merytorycznie zaś – Autor wpisu daje popis swoich braków w zakresie wykształcenia na poziomie ogólnym, oraz totalnego braku wiedzy religioznawczej (co można by jeszcze zrozumieć), oraz kultury ogólnej (czego nie sposób pominąć milczeniem). Oto dowody.

A teraz kultura wypowiedzi i argumenty.

1. Czy epitet „lewak” znamionuje kulturę wyższą od laickiej u tego, kto go używa?

2. Wypadałoby poznać choćby paru „w miarę wykształconych antyklerykałów”, zanim się uogólni („nie znałem nigdy” = nie ma?). Widać na katechezie nie uczą o takich nurtach jak chociażby antyklerykalni spirytualowie (w ramach formacji franciszkańskiej). W Wikipedii: „Historia antyklerykalizmu związana też jest z filozofią oświecenia, reformacją i wiąże się z racjonalizmem oraz rozdzieleniem religii od nauki. Rewolucja francuska przyniosła sukces antyklerykalizmu i spowodowała powstanie świeckiej republiki we Francji wraz z nowymi prawami, w tym, do czego do dzisiaj nigdzie indziej nie doszło, wpisanie zasady laickości do Konstytucji.”

W Polsce jest od dawna. Wikipedia: W Polsce odrodzeniowy antyklerykalizm przejawia się między innymi w dziełach Jana Ostroroga, Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, i Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Wystarczy? Nie? No to idźmy

dalej. Stanisław Kostka Potocki, poseł Kazimierz Czapiński, Tadeusz Boy-Żeleński.

3. „Jakby był wykształcony, to by wiedział, kto zakładał szkoły powszechne w Europie i kto zakładał pierwsze uniwersytety w Europie”. Drobiazg: po co Kościół zakładał szkoły? Przecież do dziś gros jego przedstawicieli krytykuje surowo Oświecenie i głosi wyższość Objawienia nad poznaniem naukowym.

4. Co do tego, że „Świat nie wykształcił jeszcze wyższej kultury niż chrześcijańska”. Odpowiedź: świat próbował wielokrotnie, lecz się nie dało, bo hegemon nie pozwalała i nadal nie pozwala. Wszelkie próby dowartościowania np. kultury świeckiej spotykają się z totalnym odporem (dyskredytacją) ze strony „wykształconych inaczej” (jak na powyższym przykładzie).

5. Dalsze „argumenty” są tak samo żenujące i nie ma sensu „kopanie się z osłem” – jak to powiedział Sokrates.

### **interia, 16 sierpnia 2018**

Organizacja reprezentująca katolickich biskupów w USA zwróciła się w czwartek do Watykanu z prośbą o przeprowadzenie, przy wsparciu świeckich śledczych, dochodzenia ws. zarzutów molestowania seksualnego przez byłego arcybiskupa Waszyngtonu kard. Theodore’a McCarricka.

Kardynał Daniel DiNardo, przewodniczący Konferencji Biskupów Katolickich USA, odniósł się też do raportu opublikowanego we wtorek przez społeczny zespół ekspertów powołany przez prokuraturę stanu Pensylwania do zbadania zarzutów molestowania nieletnich przez kler katolicki, z którego wynika, że ofiarami

300 księży-pedofilów w tym stanie padło w ciągu 70 lat do tysiąca dzieci. (...)

Wchodzący w skład komisji eksperci-mężowie zaufania przeanalizowali do 2 milionów tajnych dokumentów dotyczących przestępstw wobec nieletnich na tle seksualnym w diecezjach Allentown, Erie, Greensburg, Harrisburg, Pittsburgh i Scranton. (...)

W ocenie organizacji „Odpowiedzialność Biskupów” (Bishop Accountability) w latach 1950-2016 w Stanach Zjednoczonych około 6,7 tys. księży dopuściło się przestępstw seksualnych wobec nieletnich. Liczba dziecięcych ofiar molestowania szacowana jest na około 18,5 tys.

### **Wybrane komentarze internautów**

~Tajemnica WIARY- 16.08.2018: Czemu EGZORCYZMY są bezradne wobec opętania Hierarchów na punkcie ministrantów?

~AC- 16.08.2018: Chciałbym tylko przypomnieć, że Zbigniew Ziobro opublikował w sieci rejestr danych pedofilów, z którego usunięto dane księży skazanych za to przestępstwo. Państwo Polskie chroni pedofilów w sutannach.

~Aluśdo ~AC: Można założyć, że co drugi z Kleru w Polskim Kościele ma coś za uszami z tym związanego. Albo wie coś o tym, albo to ukrywa, albo brał w tym udział. A Ziobro nie chce się narażać, bo wie kto w Polsce rządzi!

~To ciekawe: Artykuł dotyczy haniebnej postawy moralnej części duchownych w USA, a maniakalni przeciwnicy Kościoła katolickiego, mający poważne kłopoty z czytaniem, myśleniem i przyzwoitością, atakują Kościół i duchowieństwo w Polsce. Może by jednak poczekali na rzetelny

artykuł o Kościele i księżach w naszym kraju?

[kom. red.:] – Czyżby?

Poczekać można, lecz ile? 50 lat? Może 100?

~katolik: Pedofilstwo w kościele obrzydliwe, w ogóle a tym bardziej dotyczące dzieci chwała papieżowi Franciszkowi, że zajął się tym draństwem.

~KP1- 19.08.2018: Jestem wstrząśnięty zakłamaniami i beztroską naszego społeczeństwa, które przyjmuje drugie tysiąclecie watykańskiego zaboru tak zwyczajnie, jakby KK nie miał za sobą pasma zbrodni, fałszerstw, złodziejstwa, pedofilii i bezkarności. Kościół ewidentnie troszczy się o własne zadośćuczynienie za śmierć Chrystusa, za którą ma mu płacić w nieskończoność cały świat. Myślę, że już najwyższy czas traktować KK tak, jak Kościół traktował nas przez ostatnie tysiąc lat w Polsce. Jeśli ktoś wątpi w to, co mam na myśli, niech spojrzy na jakikolwiek obraz ukrzyżowania i zrozumie, kto jest kim, kto kogo krzyżuje. Bo nie mam wątpliwości, że KK krzyżuje naród codziennie. Nieumiejętność odczytania tej metafory doprowadziła do tego, że Polacy nie mają Polski. Nie jesteśmy właścicielami swojego kraju. Polska została nam wypożyczona przez Watykan po to, byśmy pracowali na jego dobrobyt. W zamian za to ofiarowują nam opłatek, który mamy przyjąć z pochyloną głową i na kolanach. To zrobił Kościół, a nie Bóg. Zapewniam polskich katolików, że Bóg nie potrzebuje, by ktokolwiek przed nim klęczał i zapewniam, że Bóg jest tajemnicą, z którą Kościół nie ma nic wspólnego. Nikt tak dobitnie i jednoznacznie nie zaprzeczył na ukom Chrystusa jak chrześcijaństwo.

Nikt tak nie zbeczczył przykazań mistrza jak Kościół Katolicki. Ci, którzy chcą iść własną drogą duchową, muszą nieustannie dostarczać pożywienia swojej wyobraźni. Nie można zadowolić się tym, co mamy. Trzeba być głodnym, szukać i rozszerzać wyobraźnię. To droga do siebie, do wiedzy i do wolności. Trzeba szukać, nie ustępować, szukać, szukać, szukać. Powstań z klęzek Polaku. Nie bierz za wzór fałszywej pokory. Nie klękaj nigdy i przed nikim. Nieś swoje człowieczeństwo wysoko, prosto, godnie. Nie potrzebujesz kościoła ani religii, żeby rozmawiać o Bogu. Nie potrzebujesz nawet odwoływać się do Boga by czuć miłość w sercu, bo przecież każdy kocha lub pragnie miłości. Skończmy już straszliwą epokę religii i kościołów. Zaczniemy się troszczyć o siebie jak ludzie o ludzi, i o Ziemię. Żadnych krzyży na drogę.

~TW- 19.08.2018

Jak nie komunizm, to watykański papizm. Jak nie Moskwa, to teraz Watykan. Czy zawsze musimy być pod jakąś okupacją? O wolność przeciw Kościołowi Katolickiemu (Watykanowi) trzeba walczyć jak z komunistami! Trzeba odzyskać zrabowane przez KRK (Komisja Majątkowa) ziemie, nieruchomości i pieniądze! Zlikwidować przelewy do Banku Watykan – rocznie prawie miliard euro. Opodatkować Kościół Katolicki. Biskup Nycz przyznał, że z samej tacy z niedziel w Polsce KRK zbiera ponad 6 mld (miliardów) zł. Nie przekazał dziennikarzom, ile kościół zebrał z chrzcin, ślubów czy pogrzebów. Można się domyśleć – kolejne miliardy! Przy podatku VAT 23% (kasy fiskalne dla kleru) byłaby to niezła kasa dla Państwa, a tak z tego

60% poszło do banku Watykan. Opopodatkowanie KRK i rozliczenie złodziejstwa (Komisja Majątkowa, Fundusze) KRK dałoby ogromne pieniądze na służbę zdrowia i profilaktykę, oraz na szkolnictwo itd.

#### ~Anna- 19.08.2018

Watykańska okupacja Polski. Okupacja ta wyraża się m.in. tym, że Sejm ani Prezydent RP nie ma żadnego wpływu na obsadę stanowisk w KRK. Jak mówił Franciszek, każdy ksiądz i biskup jest obywatelem Watykanu i tylko tej władzy podlega. Dr. prawa z UW P. Borecki od wielu lat wskazuje Polakom, że KRK jako jedyna instytucja w Polsce nie ma obowiązku prowadzenia ksiąg handlowych, czyli państwo polskie nie ma żadnej – na mocy konkordatu – możliwości zweryfikowania finansów KRK. Ostatnio nawet NIK się przestraszył i zrezygnował z kontroli finansów KRK odnośnie dofinansowania z UE i rozliczenia zgodnie z dyrektywami UE. Przez 20 lat działalności Komisji Majątkowej w ręce (własność okupanta watykańskiego) przeszły ziemie, nieruchomości, wartość ponad 500 mld zł. Biskup Nycz w marcu br. przekazał, że KRK w 2015 z samej tacy z mszy z niedziel z kościołów

w Polsce zebrał 6mld (miliardów zł), z czego prawie miliard euro zostaje przelewane do banku Watykan na utrzymanie papieża i jego świty, i to bez żadnego podatku, w tym również VAT. Państwo Polskie wydaje z budżetu do 11 mld zł na dofinansowanie instytucji watykańskich (zwanym potocznie katolickimi). Lepiej okrada KRK nasz kraj, jak kiedyś komuniści!

#### ~SZATAN - 08.08.2018:

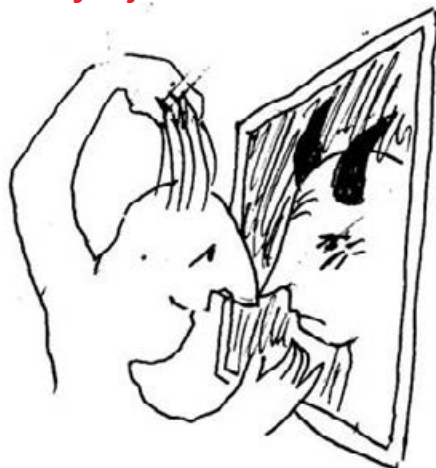
Kler oczywiście nie ma nic wspólnego z Bogiem, bo kler nie wierzy, że ten Bóg istnieje. Kler to ludzie wykształceni i wiedzą, że chrześcijaństwo jest odłamem judaizmu. Według judaizmu (kalendarza hebrajskiego) Jahwe stworzył świat 5779 lat temu. Czy człowiek wykształcony może w to wierzyć? Prawie 100% wierzących nie czyta niczego dotyczącego tej wiary i nic nie wie. Ludzi trzyma przy każdej wierze atawistyczny lęk przed śmiercią.

#### ~etnograf do ~ja - 08.08.2018:

Trafnie to ująłeś - "potrzeba wiary w boga". Tylko że potrzeba wiary w boga to jedna para kaloszy, a rzekome istnienie boga to druga para kaloszy. □

---

### STEFAN BERDAK rysuje:



**W 158 numerze Dziennika Trybuna (10-12.08.2018)** ukazał się duży artykuł prof. Danuty Waniek – Prezes TKŚ – zatytułowany „Polska na zakręcie.” Jest to bardzo rzetelna analiza i ocena aktualnej sytuacji Polski w świecie, a poprzez merytoryczny opis motywów działania elit rządzących od 1945 do 2018 r. Autorka ukazuje różnicę w podejściu do sprawowania władzy po stronie przywódców PRL, których działalność była podporządkowana interesom Państwa, a obecnie rządzących, których celem jest tylko i jedynie utrzymanie władzy. Poniżej zamieszaniekzamy obszerny fragment artykułu. Red.

**Danuta Waniek, Polska na zakręcie. Dziennik Trybuna nr 158/2018.**

W ciągu ostatnich bez mała trzech lat Polska stała się na naszych oczach krajem nieustannej, brudnej walki politycznej o wszystko: o władzę, o wartości, o prawo do dzielenia społeczeństwa na lepszych i gorszych.

O prawo do egoistycznego i nieskrępowanego pożytkowania publicznych pieniędzy, o prawo do manipulowania Konstytucją, lub cynicznego łamania jej przepisów, o prawo do ponizania autorytetów i odbierania im poczucia godności człowieczej i obywatelskiej z tytułu wypracowanego dorobku zawodowego, o prawo do narzucania społeczeństwu jednej politycznej racji, jednego światopoglądu, jednego (katolickiego) modelu moralnego. Długo by jeszcze wylizać...

Walka ta prowadzona jest między partiami postsolidarnościowymi – PO a PiS, czyli z jednej strony prawicą, stojącą raczej na gruncie wartości liberalnych (demokracji pluralistycznej, trójpodziału władz, wolności i praw obywatelskich, a z drugiej – też prawicą, tyle że nacjonalistyczną, odwołującą się do populistycznie nastawionych grup społecznych

(propagandowy pisowski „suweren”, w tym m.in. dzisiejszy związek zawodowy „Solidarność”), wspieranych przez kościół hierarchiczny (w praktyce też suweren, ale uzasadniany inaczej), który przykładowo odgrywa rolę strażnika wszystkiego, co utrzymuje społeczeństwo w strachu przed nieuchronnymi procesami modernizacyjnymi (niemoralny Zachód, „szarganie świętości” itp.). Obie formacje przypisują sobie niepodzielne prawo do dziedzictwa pierwszej „Solidarności”, chociaż charakter prowadzonej walki politycznej jest żywym zaprzeczeniem celów buntu robotniczego sprzed kilkudziesięciu lat. A tak na marginesie: nikt tak nie zrobił polskiej klasy robotniczej w przyszłowiego konia, jak błyskawicznie udało się to na początku lat 90-ych kierownictwu NSZZ „Solidarność”! Jestem skłonna stwierdzić, że w tamtym oszustwie tkwią źródła dzisiejszego konfliktu politycznego.

Stawką w tej politycznej bijatyce jest ustrój konstytucyjny Rzeczypospolitej i płynące stąd zagrożenia, i to zarówno dla sytuacji wewnętrznej (niezwykle głębokie podziały społeczne, woluntarystyczne szastanie przez rząd groszem publicznym, enigmatyczne perspektywy gospodarcze, notoryczne sięganie przez władze do metod państwa policyjnego), jak i dla polskiej racji stanu, ponieważ towarzysząca tym procesom kłamliwa propaganda z rozmysłem odsuwa w szarą strefę sygnały ważnych zmian, dokonujących się obecnie w globalnym układzie sił, co nie może być obojętne dla szans i pozycji międzynarodowej Polski. Wszak niedawna wizyta w Europie prezydenta USA Donalda Trumpa, jego antyeuropejskie wypowiedzi, a zwłaszcza przebieg spotkania z prezydentem Rosji Władimirem Putinem, poruszyły światową opinię publiczną (...). (...) □

Opracował Sławomir Brodziński

- Dopiero pod wpływem międzynarodowej opinii publicznej wdrożono śledztwo mające ustalić, czy podczas Marszu Niepodległości 11 listopada 2017 roku niesione oraz głoszone były hasła faszystowskie i nacjonalistyczne. Śledztwo trwa, a ewentualni sprawcy są poszukiwani. Natomiast osobom, które pokojowo próbowały protestować przeciw temu marszowi, postawiono kilkadziesiąt zarzutów oraz wniosków o ukaranie i podobno nie ma to nic wspólnego z szykanowaniem.



Fot. Antoni Pietryka

- Macierewicza show ciąg dalszy: to chyba nigdzie niespotykane, że odchodzący minister dalej urzęduje w swoim gabinecie (jako kto?), ma do dyspozycji oficerów ochrony i służbowe limuzyny. Natomiast nowy minister musiał przenieść swój gabinet do innej siedziby ministerstwa, a były minister jest obecnie tylko – lub aż – przewodniczącym tzw. Komisji Smoleńskiej, której działalność można umieścić jedynie w sferze kabaretowej.

- W całym demokratycznym świecie dyskutuje się o dorobku naukowym Karola Marksa, a gdy Uniwersytet Szczeciński zorganizował sympozjum poświęcone K. Marksowi w 200 rocznicę

jego urodzin, to na wniosek prokuratury policja przysłała sprawdzić, jaki poglądy są tam głoszone. Jak to określić: żenada, błazenada, prymitywizm myślowy, a może po prostu głupota...

- Trwa podporządkowywanie sądów rządzącej ekipie, co szumnie nazywane jest reformą sądownictwa, a z usprawnieniem funkcjonowania sądów nie ma to nic wspólnego. Pseudo reforma tworzy chaos i bałagan prawny, a jej istotą jest wymiana kadr w naczelnych organach sądowych. Mamy tu kolejny krok dochodzenia do autorytarnej władzy i demontaż słabej jeszcze demokracji w Polsce. Natomiast rząd od kilku miesięcy stosując swoje metody, próbuje przekonać Unię Europejską, że tzw. reforma sądownictwa jest konieczna i że jest przeprowadzana zgodnie z prawem, a władze Unii podtrzymują zarzuty o łamaniu demokracji w Polsce. Czyżby pisowska propaganda, powszechnie uprawiana w kraju, była nie skuteczna wobec Unii?



Fot. Antoni Pietryka

- Senat zakończył starania Prezydenta o przeprowadzenie referendum konstytucyjnego. Prezydent w swoim stylu, z powagą i patosem zaproponował 15 pytań referendalnych do dyskusji. Były one od Sasa do Lasa, nie stanowiły

żadnej wspólnej koncepcji i nikt poza ich autorami nie wiedział, o co właściwe chodzi. Przedstawiony Senatowi projekt referendum z 10 pytaniami nie uzyskał poparcia senatorów, więc referendum nie będzie. Marszałek Senatu uznał to za wielki sukces Prezydenta i Senatu. Klasyczny przykład, jak dobra zmiana kpi sobie ze społeczeństwa.



Fot. Antoni Pietryka

• 15 sierpnia w Warszawie odbyła się wielka, uzasadniana 100 leciem odzyskania niepodległości, parada wojskowa. Przejechały i przeleciały wojskowe jednostki uzbrojenia, a po nich paradowały różne grupy rekonstrukcyjne i różnego rodzaju przebierańcy, w tym wielu na koniach. Okraszone to było wielkim nadęciem i nabzdyczeniem nowego kierownictwa MON. Kolejna wielka impreza zrobiona dla poprawy samopoczucia rządzących; szkoda, że bardzo droga i całkowicie zbędna.



Fot. Antoni Pietryka

• Kolejny wielki sukces rządzących okazał się wielką klapą. Ogłoszono, że Polska kupi od Australii dwie prawie trzydziestoletnie fregaty, które zostały wycofane ze służby. Opinie fachowców co do celowości zakupu były podzielone, dominowały raczej negatywne. Gdy pan Prezydent i minister Błaszczak, wraz ze swymi dworzanami, pakowali walizki i szykowali się do wyjazdu, premier zablokował zakup okrętów, więc wyjazd na Antypody nastąpił bez propagandowego pretekstu. Za to szczególnie szerokim echem w świecie medialnym odbiło się wystąpienie prezydenta Dudy w Nowej Zelandii, kiedy w swoim patetycznym stylu dziękował za gościnne przyjęcie władzom i mieszkańcom Nowej **Islandii**. Tyle zostało zapamiętane z tej eskapady.



Fot. Antoni Pietryka

• Wielu komentatorów życia politycznego dziwi się dużemu poparciu w sondażach dla PiS, a wystarczy popatrzeć w karty historii i zobaczyć, jak wielkim poparciem cieszyły się totalitarne ugrupowania, gdy zdobywały władzę. Dokumentalne filmy z lat trzydziestych pokazują, jak wielkie poparcie miał Hitler, gdy zdobywał i umacniał władzę. Arogancka, oparta na kłamstwie propaganda i bezwzględne eliminowanie przeciwników politycznych nie budziło większego społecznego sprzeciwu, a raczej masowe poparcie. Ponieważ jest obecnie w Polsce dużo analogi do tamtych czasów, trzeba głośno przestrzegać przed totalitarną władzą i podejmować wszelkie możliwe działania, aby bronić i umacniać jeszcze słabą polską demokrację. □

Sporządził Sławomir Brodziński

## **O naszym przyjacielu Janie Nowaku (1928-2018)**

W ostatniej naszej rozmowie telefonicznej, kiedy już leżał przykuty do łoża, prosiłem go, żeby się pozbierał i nie psuł zabawy, bo na wrzesień przygotowujemy jubileusz. Kończy przecież 90 lat, wiek w „Kuźnicy” uważany za nareszcie dostojny. Odpowiedział poważnie: będę się starał, ale nie mogę się zobowiązać. Umarł w kilka tygodni później.

Był zawsze solidny, słowa dotrzymywał. A przede wszystkim był nauczycielem z powołania. Kiedy w drodze na pogrzeb opowiadałem jego żonie Ali, że zorganizujemy w „Kuźnicy” wieczór jego pamięci, odrzekła bez chwili wahania: poczekajmy do września, na początek roku szkolnego, bo ten wyznaczał rytm naszego domowego życia.

Urodzony na wsi w najodleglejszym powiecie krakowskiego regionu – Dąbrowy Tarnowskiej, postanowił być tym, kto w jego wyobraźni wypełniał ideały społecznego przewodnika – nauczycielem. W Polsce Ludowej mógł swe marzenia urzeczywistnić. Ambitny i pracowity, świadomy swej społecznej genealogii, ale i zdeterminowany w woli awansu, trafił do miasta, które powstawało w świetle Krakowa – do Nowej Huty. W Krakowie ukończył studia historyczne, a potem jeszcze dziennikarskie na Uniwersytecie Jagiellońskim i rozpoczął pracę, którą całe życie traktował jako misję.

Nic też dziwnego, że w środowisku nauczycielskim w sposób naturalny stawał się uznawanym przewodnikiem – zawodowym, społecznym, ideowo-politycznym.

Uczył historii, kierował renomowanym zespołem szkół zawodowych Huty, został powołany w 1964 roku (pamiętam dobrze te czasy, byłem wtedy w Krakowie I sekretarzem partii) na stanowisko wicekuratora okręgu szkolnego, długo był kuratorem. A od roku 1979 pełnił ważną funkcję wiceprezydenta Krakowa. Wypełniał ją

z powodzeniem przez jedenaście lat aż do roku 1990, dzięki swej kompetencji, nieposzlakowanej uczciwości i oddaniu środowisku, którym kierował.

Czas nie był wtedy łaskawy dla inteligentów, a przyzwyczajenie (podobnie jak dzisiaj) nie była cechą szczególną wielu ludzi władzy. Ale nawet w stanie wojennym Jan Nowak budził przede wszystkim szacunek. W niczym bowiem nie uchybił postawie obywatelskiej odpowiedzialności, ale i nieskorości do używania przemocy. Zawsze w trosce o młodych, o ich wychowawców. Spokój i rozważa, ale i pełna lojalność wobec przełożonych, widoczne były w każdym jego zachowaniu.

Determinowała je ideowa postawa człowieka lewicy, który jest wierny wartościom, ale rozumie ludzi w ich niekonsekwencjach i różnorodności. Te postawę rozwijał od dawna w partii, do której wstąpił we wczesnej młodości z młodzieńczych szlachetnych pobudek i w której stał się człowiekiem porozumienia. Między tymi mianowicie, którzy odwoływali się do czystych idei socjalizmu i polskiej racji stanu, oraz tymi, dla których nadrzędną była walka z przeciwnikiem, wąskie pojmowanie interesu klasowego, czy raczej grupowego. To wyróżniało go od początku w długich okresach działania w kierowniczych strukturach partii, do których był powoływany: w komitecie fabrycznym w Hucie Lenina, w nowohuckiej dzielnicy, w egzekutywie krakowskiego komitetu.

Odporność fizyczną i radość życia przynosiła mu wielka, od wczesnej młodości przyciągająca go pasja – piłka nożna. Nic więc dziwnego, że pamiętamy go i jako



Fot. Antoni Pietryka

zawodnika piłkarskiego AZS-u, i jako sędziego wielu meczów, i przez wiele, wiele lat, aż do ostatnich dni, jako działacza Krakowskiego i Polskiego Związku Piłki Nożnej. Otaczał go zawsze tłum starych działaczy i zawodników krakowskich klubów, których organizował wokół spraw związkowych, pomagał w codziennym życiu i we wspominaniu pięknych czasów „Cracovii”, „Wisły”, „Garbarni”, „Hutnika”, a nawet mojego „Zwierzynieckiego”. A kiedy chciał mieć szczególną satysfakcję ze swojego zawodu – zorganizował liceum, któremu przez wiele lat dyrektorował: szkołę mistrzostwa sportowego; i to tę, która specjalizowała młodych w piłce nożnej i wychowała wielu wybitnych zawodników i trenerów.

Ale przecież zarys postaci Jana Nowaka pomijałby istotę jego osobowości, gdyby nie przypomnieć, że świat jego myśli i działań społecznych kształtował się przez dziesięciolecia w dwóch środowiskach (tak zresztą bliskich, że można je uważać za jedno) – „Kuźnicy”, gromadzącej lewicowych twórców

i działaczy kultury, nauki, oświaty i mediów, oraz Towarzystwa Kultury Świeckiej, łączącego głównie laickich pedagogów i innych ludzi myślących racjonalnie. W obu odgrywał rolę bardzo ważną, tego, który spaja i organizuje. Towarzystwu Kultury Świeckiej przez wiele lat wręcz przewodził.

Był krytyczny wobec systemów władzy i dostrzegał potrzebę zmian, ale obca mu była wszelka apostazja i zdrada. Był dobry i wierny. Takim go zapamiętamy.

Jego pogrzeb w upalny dzień czerwcowy zgromadził na cmentarzu Salwatorskim przybyłą z najodleglejszych nieraz stron wielopokoleniową rodzinę Nowaków i tłum przyjaciół. Przemawiał prezydent Krakowa i towarzysze od piłki nożnej. A wiceprezes „Kuźnicy”, znana z wieloletniego zaangażowania nauczycielka, wypowiedziała słowa może najważniejsze: „Należał do pokolenia, które zmuszone było po okrucieństwach wojny na nowo odkrywać granice między dobrem a złem.” □

## POŻEGNANIE JANA NOWAKA

21 czerwca 2018 r.

„Życie nie jest świecą, to raczej wspaniała pochodnia, którą pozwolono nam trzymać przez chwilę i należy uczynić wszystko, by świeciła jak najjaśniej, nim oddamy ją naszym następcom” (G.B. Shaw)

Taką pochodnią było życie Janka Nowaka. Wybitnego pedagoga i działacza samorządowego, członka – założyciela reaktywowanej w latach 80. „Kuźnicy”, aktywnie działającego w jej władzach jak również przez kilka lat prezesującego Fundacji „Kuźnica”. Także członkowie Towarzystwa Kultury Świeckiej powierzali Mu wielokrotnie funkcję przewodniczenia im. Był nie tylko mentorem i autorytetem, ale przede wszystkim naszym Przyjacielem. To tylko drobny wycinek z Jego życia zawodowego i społecznego.

Należał do pokolenia Kolumbów, pokolenia, które zmuszone było po okrucieństwach wojny na nowo odkrywać granice między dobrem a złem. Mimo tych wojennych przeżyć zachował pogodę i młodość ducha. W całym swoim życiu kierował się wartościami humanistycznymi, okazywał wszystkim życzliwość, szacunek i uczynność. Był pracowity i odpowiedzialny. Nawet mając problemy zdrowotne, do końca został aktywny. Są to cechy coraz bardziej lekceważone w dzisiejszych czasach, gdy liczy się tylko „za ile?”, więc tym bardziej godne naśladowania. Myślmy, że byłeś, Janku, tą wspaniałą pochodnią i Twoi następcy będą kroczyć wyznaczoną przez Ciebie drogą.

Ci, których kochamy nie umierają, bo miłość to nieśmiertelność –

**Cześć Twej pamięci!**

*Mowa pogrzebowa wygłoszona przez wiceprzewodniczącą „Kuźnicy” Halinę Krywak*

## W hołdzie Boy'owi

Zgodnie z wieloletnią tradycją członkowie i sympatycy Towarzystwa Kultury Świeckiej w Krakowie spotkali się 5 lipca na Plantach pod pomnikiem Tadeusza Żeleńskiego Boya, aby uczcić 77 rocznicę jego śmierci. Wśród przybyłych byli również członkowie *Kuźnicy* z wieloletnim jej prezesem doc. Andrzejem Kurzem i członkowie Stowarzyszenia Wszechnicy Oświeceniowo-Racjonalistycznej z prezesem Adamem Jaśkowem, oraz przedstawiciele Straży Miejskiej, którzy w imieniu Prezydenta Krakowa prof. Jacka Majchrowskiego złożyli pod pomnikiem wiązankę kwiatów. Krótkie, okolicznościowe przemowy wygłosili prezes TKŚ dr Józef Kabaj i prezes SWOR Adam Jaśkow. Mówcy w swoich wystąpieniach przypomnieli sylwetkę T. Boya Żeleńskiego, jego dokonania na niwie społecznej

i kulturalnej. Podkreślili i zaakcentowali coraz większą obecnie aktualność dokonywanej wówczas przez naszego Patrona krytycznej oceny stosunków społecznych i zdecydowanego przeciwstawiania się przez T. Boya Żeleńskiego przejawom fałszu i pruderii. Wielkim paradoksem jest, że mimo upływu prawie stu lat Jego krytyczne teksty nabierają coraz większego odniesienia do naszej dzisiejszej rzeczywistości. Może to dowodzić, że cofamy się w społecznym rozwoju i zamiast doskonalić demokrację – coraz bardziej ją demontujemy. Po złożeniu kwiatów i po chwili zadumy uczestniczący w uroczystości udali się na spotkanie przy małej czarnej, gdzie przez około 2 godziny mile spędzali czas w swoim towarzystwie, wymieniając poglądy na czasy przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. □

Zanotował Sławomir Brodziński



Fot. Antoni Pietryka



Fot. Antoni Pietryka

# UCHWAŁA XIII Zjazdu Krajowego Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego

XIII Zjazd po zapoznaniu się ze Sprawozdaniem ustępujących władz krajowych Towarzystwa za okres kadencji w latach 2014 – 2018, przekazanym wcześniej pisemnie wszystkim uczestnikom Zjazdu oraz przedstawionym w wystąpieniu na Zjeździe prezesa – prof. Pawła Kozłowskiego, przyjmuje ten dokument z aprobatą i uznaniem. Stwierdza, że mimo wielu trudności obiektywnych i subiektywnych, ruch nasz dokonał w minionych czterech latach kolejnego kroku wzbogacającego nasze kulturowe dziedzictwo i jego intelektualną tożsamość, formowaną na fundamencie wartości humanistycznych, racjonalistycznych i świeckich, utrzymywaną w duchu idei przewodnich, głoszonych w dziełach naszego patrona – Tadeusza Kotarbińskiego.

Zjazd pragnie wyrazić w tym miejscu serdeczne podziękowanie wszystkim działaczom i członkom naszego Towarzystwa za ich bezinteresowny trud w dziele kształtowania i krzewienia wartości, opartych na tolerancji i dialogu. Zjazd pragnie zarazem to podziękowanie skierować w sposób szczególny do dra Zdzisława Słowika, współzałożyciela naszego ruchu w jego obecnym kształcie, jego długoletniego działacza i redaktora „RES HUMANA” od początku jego wydawania.

## II

Jednakże minione cztery lata działalności Towarzystwa ujawniły zarazem nasze liczne słabości, o których także mowa w przedłożonym sprawozdaniu. Zjazd uważa, że wymagają one roztropnego

namysłu w czasie najbliższego spotkania nowo wybranej Rady Krajowej, wcześniej wypracowanego w toku dyskusji na forum statutowych ogniw naszego Towarzystwa.

W tej perspektywie Zjazd zaleca nowo wybranej Radzie i Prezydium Rady kontynuację wszystkich sprawdzonych form naszej dotychczasowej działalności, a zarazem sformułowanie nowych inicjatyw, które pilnie dyktuje nam obecny czas.

Stoimy na stanowisku, że w szczególności rocznica stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości oraz zbliżające się wybory samorządowe, parlamentarne i prezydenckie powinny stać się dla nas dobrze wykorzystaną okazją dla przypomnienia naszych demokratycznych tradycji oraz do podejmowania różnych form aktywności, zaznaczających potrzebę obecności kultury świeckiej w życiu społeczno – politycznym naszego kraju.

## III

XIII Zjazd Krajowy wyraża przekonanie, że czternasta kadencja naszego ruchu stanie się okresem ukazania naszej determinacji i woli w służbie obrony naszych konstytucyjnych wartości, a w tym przed wszystkim niezbywalnej godności człowieka i sprzeciwie wobec tych wszystkich, którzy dziś próbują narzucić nam autorytarny model stosunków między władzami państwowymi a społeczeństwem. □

Warszawa, 2 czerwca 2018 r.



■ Czym jest człowiek? Hałaśliwą istotą, którą dobry Bóg stworzył z rozczarowania małpą.

*Mark Twain*

■ Ludzie genialni są podziwiani, bogatym się zazdrości, potężni budzą strach, ale tylko ludziom z charakterem można zaufać.

*Adolf Adler*

■ Telewizja dowiodła, że ludzie wolą oglądać cokolwiek, niż patrzeć na siebie nawzajem.

*Ann Landers*

■ Tracimy godność, gdy zgadzamy się na nietolerancję.

*Dominique Menil*

■ Jesteśmy kształtowani przez swoje myśli. Jesteśmy tym, czym one są. Gdy umysł jest niezmacony, przychodzi szczęście i podąża za nim jak cień.

*Budda*

■ Człowiek nie musi być aniołem, by zostać świętym.

*Albert Schweizer*

■ Człowiek potyka się o kretowiska, nie o góry.

*Konfucjusz*

■ Nikt nie nudzi się w barze. To nie to, co w kościele, gdzie zostaje się sam na sam z własną duszą.

*Luis Bunuel*

■ Oszczędzaj łez twoim dzieciom, aby miały czym płakać nad twoją trumną.

*Pitagoras*

■ Aby popełnić zbiorową nikczemność, ludzie nie potrzebują się naradzać.

*Adolf Dygasiński*

■ Dziwna bowiem jest natura ludzka; im mniej sami mamy skłonności do męczeństwa, tym natarczywiej żądamy go od innych.

*Bolesław Prus*

■ Różnica między grzesznikiem, a świętym polega na tym, że święty ma zwykle ciekawą przyszłość, grzesznik zaś przeszłość.

*Oscar Wilde*

■ Ludzie nie są znowu tak wielkim bydłem i bez idei żyć im trudno.

*Witkacy*



Projekt okładki: Stefan Berdak

Kompozycja stron: Artur Kozioł

Grafiki: Piotr Augustynek, Barbara Pietryka, Roman Lasa. Zdjęcia: Antoni Pietryka



STEFAN BERDAK "Podpatrywanie grzeszników", akryl, papier

